Cena 60 gr.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI Warszawa, 10 grudnia 1950 r. Nr 49 (263)

DOGMAT O WNIEBOWZIĘCIU NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

W dniu 1 listopada Ojciec Święty ogłosił dogmat o Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny. Jest to wydarzenie nadające niezwykłą wagę Rokowi Świętemu 1950. Nauka Kościoła wzbogaciła się o nową prawdę, która od wieków była przedmiotem powszechnej wiary, ale dopiero teraz otrzymuje nieomylną sankcję od najwyższego Autorytetu, od Żywego Głosu Kościoła przemawiającego przez usta Ojca Świętego. Orzeczenie dogmatyczne zawarte w bulli papieskiej brzmi: „Jest prawdą objawioną przez Boga, że Matka Syna Bożego, Najświętsza Maryja Panna, po zakończeniu ziemskiego żywota została z ciałem i duszą wzięta do nieba".

Teologiczny obraz Matki Bożej staje się stopniowo coraz wyraźniejszy. Wieki i tysiąclecia pracy intelektualnej opanowywały materiał zawarty w Piśmie Św. i w Tradycji. Już orzeczenia pierwszych soborów, broniących bóstwa Chrystusa, określają godność Maryi, mówiąc o tajemnicy Jej dziewictwa i godności Bogurodzicy; o Jej czystości i niewinności. W wielkim dziele rozwoju doktryny chrześcijańskiej powoli dojrzewają doniosłe prawdy, przez długie wieki społeczność wiernych przygotowuje się do ich pełnego zrozumienia. Dlatego dopiero ostatnie stulecie przyniosło ogłoszenie dogmatu o Niepokalanym Poczęciu, a naszym czasom przypadło w udziale to, ku czemu dążyła od początku „teologia Maryi": uroczyste ogłoszenie Wniebowzięcia.

Mówimy tu o „nowej" prawdzie, ale trzeba pamiętać, że każdy dogmat jest nowy tylko dla nas, którzy docieramy coraz głębiej do treści Objawienia — dzięki nieomylnemu kierownictwu Kościoła. W istocie bowiem każdy punkt nauki dogmatycznej jest od samego początku — w sposób jawny lub ukryty — zawarty w skarbcu Objawienia. Całe Objawienie Nowego Przymierza jest potężnym snopem światła, do którego ludzkość powoli dorasta. Czasem wydaje się nam, że okres wielkich dogmatów minął wraz z Ojcami Kościoła, że wtedy zostało powiedziane wszystko, co jest naprawdę doniosłe, że zadaniem Kościoła jest już tylko piecza nad ukształtowaną doktryną. Ale ogłoszenie niezmiernie ważnego dogmatu w roku 1950 przypomina nam, że działalność Ducha Świętego jest dziś w Kościele tak samo intensywna, jak w czasach starożytnych.

Jakie są źródła prawdy o Wniebowzięciu? Nie ma żadnego tekstu w Piśmie Świętym, który by wprost wskazywał na ten fakt kończący życie Maryi. Ale w Tradycji był żywy kult Wniebowzięcia, i to od czasów bardzo dawnych. Dociekania teologiczne często natrafiały na problem niebiańskiej chwały Matki Bożej. Na czym polega to wywyższenie Jej ponad ludzi i aniołów? Od początku swego życia była Ona obsypana niezwykłymi łaskami. Jej wielka rola w dziele Odkupienia podkreślona jest przez to, że samo Wcielenie zależało — w tajemniczy sposób — od Jej zgody. Jeśli Chrystus jest drugim Adamem, to Maryję zaczęto nazywać drugą Ewą, która wraz ze swoim boskim Synem zwyciężyła władzę grzechu. Ona pierwsza również bierze udział w triumfie Chrystusa nad śmiercią. Tym triumfem jest właśnie Wniebowzięcie.

Doktryna Wniebowzięcia mówi nam, że ciało Matki Bożej zostało zachowane od zepsucia i — uwielbione, zamienione w to „ciało duchowe", o którym mówi św. Paweł, tłumacząc sens zmartwychwstania zbawionych w dniu Sądu Ostatecznego. Chrystus przez Wniebowstąpienie i Maryja przez Wniebowzięcie — uprzedzili ten proces, który stanie się powszechny po wypełnieniu czasów. Żyjąc w warunkach świata dzisiejszego, możemy tylko niejasno przeczuwać, na czym polega przemiana ciała w „ciało duchowe", na czym polega jego uwielbienie i chwała w Niebie, w warunkach poza czasem i przestrzenią. Jest to jeden z tych wypadków, w których przypominają się nam słowa Pawłowe o prawdzie widzianej „niejasno, w zwierciadle"; zrozumiemy wszystko dopiero wtedy, gdy spojrzymy „twarzą w twarz"; wtedy wiedza, widzenie uszczęśliwiające — zastąpi wiarę. Trzeba również pamiętać, że orzeczenie dogmatyczne nie określa okoliczności towarzyszących Wniebowzięciu: nie wiemy, czy Najświętsza Maryja Panna w ogóle nie zaznała śmierci, czy też umarła (jak widzimy na niezliczonych obrazach średniowiecznych), aby zmartwychwstać ku Wniebowzięciu.

Każdy dogmat przeżywamy przede wszystkim intelektualnie. Ale za poznaniem idzie miłość. I choć formuła dogmatu nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania, które stawia pobożna ciekawość wiernych, to jednak już to, co zostało nam dane, jest źródłem wielkiej radości. Nieomylny Autorytet potwierdził niesłychaną godność, niezwykłe wywyższenie tej ubogiej Kobiety z Nazaretu, Matki Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, która stojąc pod Krzyżem przyjęła nas wszystkich pod swoją przemożną opiekę. Zwłaszcza katolicyzm polski miał zawsze głęboką świadomość tego Królestwa Maryi. Wniebowzięcie Maryi było u nas zawsze przedmiotem powszechnej wiary. Kościół polski przeżywa więc w tym roku wielkie i niezwykłe święto.

Przez wiele lat będą uczeni teologowie rozważać i wyjaśniać treść i znaczenie nowego dogmatu. Naszą intencją jest tu przede wszystkim podzielenie się z Czytelnikami radością wspólną całemu Kościołowi. Taka uroczystość jak ogłoszenie dogmatu pogłębia naszą świadomość uniwersalizmu Kościoła: oto wszyscy katolicy przyjęli z radością i pokorą dogmatyczne orzeczenie Ojca Świętego jako niewzruszoną prawdę wiary. Jednocześnie możemy sobie uświadomić, na czym polega ten uniwersalizm, jaka jest istota tego związku łączącego cały Kościół katolicki w jeden wielki organizm. Źródłem jedności jest Duch Święty, który płonął w wieczerniku nad Apostołami i nadal płonie nad głowami ich następców. Jest to związek oparty na sakramentalnych charyzmatach, na święceniach ustanowionych przez samego Chrystusa. Jest on przeznaczony dla wszystkich epok i bynajmniej nie potrzebuje podpierać się sztucznym konserwowaniem tych przestarzałych form cywilizacji świeckiej, do których przyzwyczaiło się wielu katolików.

Ktoś zapyta: po co przypominać te prawdy znane z katechizmu?

— A jednak trzeba je ciągle przypominać. Warto wiedzieć o tym, że pewni zachodni „obrońcy chrześcijaństwa" próbowali wyzyskać to wielkie święto Kościoła dla wystąpień nie mających z dobrem religii nic wspólnego. Niektóre organy prasy zachodniej podjęły bluźnierczą próbę wiązania spraw najdroższych sercu chrześcijanina z propagandą wojenną, w której bezideowość ginącego kapitalizmu szuka dla siebie jakichś pozorów ideowości — per fas et nefas. Katolicy powinni być szczególnie czujni wobec takich poczynań, które są bluźnierstwem, a jednocześnie groźnym atakiem na jedność Kościoła, na Jego uniwersalizm przeznaczony dla wszystkich epok, a więc i dla tej nowej epoki, która rodzi się wśród wytężonej pracy mas ludowych.

Katolicy polscy biorący udział w tej pracy pragną, aby również ci katolicy na Zachodzie, którzy przejawiają niebezpieczną skłonność do ulegania fałszywej interpretacji wydarzeń religijnych, zrozumieli istotę uniwersalizmu Kościoła. Katolicy polscy żyjący w rytmie wielkich przemian historycznych uczą się patrzeć szeroko i głęboko. Przyjmując ze czcią orzeczenie dogmatyczne pochodzące z ust Piotrowych, uczestnicząc w procesie rozwoju chrześcijaństwa ku ostatecznym przeznaczeniom, — jednocześnie pamiętają, że obowiązkiem ich jest walczyć również o sprawiedliwość ziemską, o to, by nigdy ich zaniedbania nie utrudniały ich braciom drogi do prawdy katolicyzmu.



WIT STWOSZ: ZAŚNIĘCIE NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WŚRÓD PRZEMIAN ŚWIATA

TOTALIZM ZE ZWODNICZYM SZYLDEM

Ludzie nazywający się personalistami stawiają sobie za cel dążenie do takiego układu stosunków społecznych, który najbardziej sprzyja twórczemu rozwojowi osoby ludzkiej. Konsekwentni wyznawcy założeń personalistycznych zamykają w nich zarówno służbę wartościom człowieka w ich indywidualnym, najbardziej intymnym sensie, jak i dążenie do urzeczywistnienia najlepszych warunków społecznych dla rozwoju osobowości każdego człowieka — a więc dla rozwoju całej społeczności ludzkiej. Personaliści — są jednakże personalistami i dlatego na drodze własnych poszukiwań i wspólnej walki nie mogą zagubić żadnego z dwóch zasadniczych elementów swej postawy. Walcząc o lepsze rozwiązania społeczne, poszukują takiego ich wyrazu, który by nie tylko nie naruszał, ale przeciwnie, harmonijnie łączył indywidualne i społeczne obowiązki i prawa człowieka, każdego człowieka. Stąd konsekwentni personaliści odrzucając fałszywą, wynikającą z zapoznania społecznej natury człowieka liberalną interpretację wolności, nie gubią bynajmniej na swej drodze antytotalitarnych założeń.

Personalizm — jako sposób podejścia do spraw indywidualnych i społecznych człowieka jest doktryną leżącą na płaszczyźnie pozawyznaniowej. Postawa katolicka nie ograniczając dążeń personalistycznych do wyznawców nauki Chrystusa zawiera je jednak w sobie integralnie. Ona jest też najbardziej wyraźnym, najbardziej jasnym i pełnym podejściem do zagadnień personalistycznych. Trzeba jednak uświadomić sobie, że są postawy ogłaszające się za katolickie, które z personalizmem łączy tylko więź frazeologicznych pozorów, że są postawy, systemy myślenia, działania i urządzania życia, które odmieniają słowo „katolicyzm", „katolicki" przez wszystkie przypadki, a w swej treści są jak najbardziej antypersonalistyczne, skrajnie totalistyczne. Należy to jasno zrozumieć dla uzbrojenia własnej świadomości w fakt, że postawa personalistyczna wymaga też walki z wszystkimi wypaczeniami, pozorami i nadużyciami czynionymi właśnie w imię rozwoju i urzeczywistniania najbardziej personalistycznej — katolickiej doktryny. Z takim właśnie nadużyciem mamy do czynienia w wypadku faszyzmu hiszpańskiego, systemu, który totalitarne i antypersonalistyczne oblicze zamaskował szyldem katolickim, jaskrawym kolorami społecznego wstecznictwa.

Gdy przed kilkunastu laty rozpoczęła się w Hiszpanii wojna domowa, wielu katolików nie tylko w Hiszpanii ale na całym świecie wprowadzały w błąd pozornie ultrakatolickie i pozornie wzniosłe i szlachetne hasła głoszone przez gen. Franco. W samej Hiszpanii stosunkowo nieliczni działacze katoliccy—jak Jose Bergamin, ostatnio uczestnik Światowego Kongresu Pokoju w Warszawie — stanęli od razu po stronie republikańskiej narażając się na wszelkie tego konsekwencje, jak długoletnia i niezakończona jeszcze emigracja.

Większość bądź bierna, bądź omotana zewsząd mackami faszystowskiej partii, nie potrafiła dostrzec w porę, że Caudillo w swej polityce i ideologii posługuje się katolicyzmem jako narzędziem dla umocnienia swego systemu, a forytowanie przez niego Kościoła Katolickiego stwarza temu ostatniemu warunki sztucznego uprzywilejowania oddalając go w konsekwencji od apostolskiego oddziaływania na dusze maluczkich w Kościele. Jeśli zaś chodzi o społeczeństwa katolickie poza Hiszpanią, to stwierdzić trzeba, że niewielu było Bernanosów i Ksawerych Pruszyńskich, którzy zetknąwszy się z prawdą rzeczywistości hiszpańskiej potrafili od razu rozszyfrować prawdziwe oblicze faszyzmu hiszpańskiego. Bernanos, którego poprzednie pronacjonalistyczne sympatie podczas pobytu w Hiszpanii w okresie wojny domowej doznają gruntownego wstrząsu, napisze w jednym z listów — „To jest coś przerażającego ta pseudokrucjata, to potworne zakłamanie. Niebo nad Hiszpanią stało się bardziej czarne niż ostatnia sala pałacu w Alhambrze i smutne jak nigdy". Gdzie indziej zaś napisze o swej książce z hiszpańskiej wojny domowej — „Jeden z intymnych współpracowników Jego Świątobliwości Piusa XI pisał do mnie, iż moja książka wybuchła jak bomba, ale jej eksplozja była zbawienna. Wierzę, że gdy zwalą się na Kościół niewątpliwe burze, nie będzie to rzeczą złą, iż skromny pisarz katolicki w okresie rozpętanej nienawiści na parę lat wcześniej uderzył bezlitośnie w kłamców mając na oku tylko prawdę". U nas Pruszyński w „Czerwonej Hiszpanii" otwierał niekomunistom oczy na tragiczny błąd, jakim były wszelkie sympatie dla faszystowskiego puczu. Był to jednak okres, w którym w zmieszczaniałej Europie sympatie dla szowinistycznego nacjonalizmu i faszyzmu, docierały także do kół katolickich urzekając katolików frazeologią światopoglądową bazującą umiejętnie na antykomunistycznych hasłach. Stąd głosy ostrego i wyraźnego protestu ze strony katolickiej nie zawsze równoważyły określone i nieokreślone tendencje do sympatii.

Dopiero druga wojna światowa obnażając wyraźnie powiązania między Franco, Hitlerem i Mussolinim pokazała jak na dłoni prawdziwe oblicze i ideologiczny kierunek obecnego regime'u hiszpańskiego. Gdy po wojnie formuje się ONZ, rząd Franco pozostaje poza zasięgiem wspólnoty narodów, zapada uchwała o nieutrzymywaniu stosunków dyplomatycznych z faszystowskim rządem Hiszpanii przez państwa ONZ-tu.

Niebawem jednak koło zaczyna się kręcić znów w odwrotną stronę. W okresie montowania paktu atlantyckiego Hiszpania zaczyna być brana w rachubę, mówi się o pakcie śródziemnomorskim, w którym grałaby ona pierwsze skrzypce, Franco buńczucznie wtóruje wszystkim najbardziej skrajnym głosom propagandy wojennej, i zabiega o przyznanie mu funkcji forpoczty w trzeciej wojnie, którą ubiera w zbrodniczą frazeologię krucjaty. Wreszcie — nie tak dawno — ONZ uchyla swą poprzednią uchwałę o nieutrzymywaniu stosunków dyplomatycznych z faszystowskim rządem hiszpańskim, a Stany Zjednoczone udzielają mu pożyczki 100 milionów dolarów.

Pytaniem, które chcemy tu postawić, jest zagadnienie, czy to odwrócenie biegu koła, ta ewolucja zmierzająca stopniowo w kierunku wpuszczenia totalizmu hiszpańskiego na arenę międzynarodowych wydarzeń, nie odbija się wśród środowisk katolickich jakimś mniej lub bardziej wyraźnym nawrotem tendencji sympatyzujących z rządem hiszpańskiego dyktatora, czy choćby usypianiem czujności wobec jego systemu.

Niestety fakty takie dadzą się zaobserwować. "The Tablet" angielski tygodnik katolicki o nastawieniu społecznie konserwatywnym drukuje w sierpniu br. artykuł pt. „Jugosławia a Hiszpania", który może służyć za przykład pewnego typowego i bardzo swoistego zaślepienia. Przeprowadza się w nim ostrą krytykę nawiązującego się kontaktu między rządem Jego Królewskiej Mości a rządem Tito, a jednocześnie zaś pretensjonalnie wysuwa się postulat pomocy dla rządu Franco. Nie interesuje nas tu problem regime'u Tito. Chodzi nam o stanowisko pisma katolickiego, które można by streścić w jednym zdaniu: jeśli są dwa totalizmy, to totalizm z szyldem katolickim jest lepszy. Wydźwięk artykułu jest jasny i niedwuznacznie szkodliwy — przymykanie oczu na całą zgniliznę moralną faszystowskiego ustroju Hiszpanii; osłabianie wrażliwości katolików na czarno malowany szyld katolicki nad totalizmem Franco.

Zastrzec trzeba, że Tablet przyznaje, iż „obecny regime panujący w Hiszpanii odpowiada grupie uprzywilejowanych, które nie pragną wcale zmiany", ale twierdzi jednocześnie, że „rząd hiszpański nie jest w najważniejszym tego słowa znaczeniu totalitarnym, ponieważ nie narzuca on żadnej doktryny". Czy tak jest w istocie, czy z tego punktu widzenia rząd Franco zasługuje na usprawiedliwienie.

Przed dwu laty „Témoignage Chrétien" drukował ostry artykuł w sprawie sytuacji protestantów w Hiszpanii. Rząd hiszpański wydał bowiem zakaz odbywania publicznie nabożeństw niekatolickich. Hiszpania stała się wtedy miejscem tak oburzających zajść, jak znieważanie duchownych protestanckich w czasie pełnienia obowiązków religijnych, profanowanie i łupienie domów modlitwy itp. Są to przecież wyraźne objawy totalnego narzucania jednej doktryny sprzecznego z poszanowaniem wolności sumienia i kultu. Powiedzmy sobie jasno i otwarcie — nic w postawie katolickiej na to nie pozwala, i miejmy też odwagę skierować ostrze naszego oburzenia przeciwko relatywizmowi niektórych naszych współwyznawców, którzy chcą odmiennie normy moralne stosować dla siebie niż dla innych.

Niestety — w drukowanych ostatnio w „Témoignage Chrétien" reportażach z Hiszpanii trudno dopatrzeć się śladów słusznego oburzenia sprzed dwóch lat. Mówi się tam o nasłonecznionych wzgórzach, o pięknych widokach, o tym, że Hiszpan pół swego zarobku wydaje na walki byków, ale echa problematyki socjalnej tego kraju zacofania i jaskrawych nierówności społecznych, echa totalizmu regime'u nie znajdujemy. I to drugi już fakt świadczący o usypianiu wrażliwości katolików na totalizm z katolickim szyldem. Fakt tym bardziej niepokojący, że znajduje potwierdzenie na łamach pisma postępowego.

Nadużywanie szyldu katolickiego przez totalizm gen. Franco zobowiązuje katolików do tym większej czujności.

„Dla nas istnieje tylko jedno państwo doskonałe. To — państwo katolickie" — powiedział Franco w roku 1946 do Kortezów maskując tym frazesem oblicze swego systemu i paraliżując świadomość moralną katolików żyjących w Hiszpanii. Odpowiedź na to oświadczenie faszystowskiego dyktatora, jaką dać muszą personaliści, jest prosta: — państwo Franca nie jest katolickim jest totalizmem ze zwodniczo umieszczonym katolickim szyldem. Więcej — dla nas państwo katolickie nie istnieje ani w praktyce ani w teorii. Bo katolicyzm to nie doktryna państwa. Nie o katolickie więc państwo chodzi, ale o państwo, które stwarza warunki dla rozwoju w człowieku tego, o co Kościół zabiega przez wieki w innej, niepolitycznej, niepaństwowej sferze. O państwo stwarzające te warunki dla każdego człowieka. Takim zaś państwo Franca nie jest. Zwodniczo umieszczony szyld powinien przestać mylić komukolwiek jasną ocenę.

Tadmaz

NOTATNIK POLITYCZNY

PO WARSZAWSKIM KONGRESIE

Celowo przystępujemy do omówienia politycznego znaczenia II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju w Warszawie po pewnym czasie. Znany jest już oddźwięk Kongresu na całym świecie, entuzjastyczne przyjęcie, z jakim spotkały się jego uchwały wśród najszerszych mas ludowych, pragnących pokoju, oraz kłopoty z własnym parlamentem i społeczeństwem, w jakie zapiątali się politycy brytyjscy przez zdemaskowanie ich gry, zmierzającej do uniemożliwienia odbycia się Kongresu. Znamy także wypowiedzi i oceny delegatów, gości i przedstawicieli prasy, z różnych krajów i o różnych poglądach przypisujące jednogłośnie olbrzymie polityczne i wychowawcze znaczenie II Światowemu Kongresowi. Zresztą charakterystyczne jest tu stanowisko wrogów ruchu pokoju i Kongresu, nacechowane zdenerwowaniem, tak dziś widocznym na łamach prasy zachodniej. Prasa ta martwi się, że rząd brytyjski uniemożliwiając odbycie się kongresu w Anglii oddał w ręce obrońców pokoju olbrzymi atut polityczno-propagandowy. Anglicy zastanawiają się także, czy mimo walki z komunistami w ich kraju można tak dalece ograniczać tradycyjną wolność, jak to się stało w ostatnim wypadku. A no, widocznie można, jak uczy doświadczenie.

Ale mniejsza z kłopotami tamtych polityków. Łatwo przewidzieć, że będą one nadal rosły. Tu interesują nas one jedynie jako dowód, jakie znaczenie przypisują kongresowi jego wrogowie w świecie kapitalistycznym. Trzeba by postawić pytanie dlaczego Drugi Światowy Kongres Pokoju posiada tak duże polityczne znaczenie. Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta.

Wydaje nam się, że dwie są główne przyczyny tego znaczenia kongresu. Pierwszą jest jego reprezentatywność dla najszerszych mas wszystkich krajów, wszystkich poglądów i postaw ideowych. Ta reprezentatywność tworzy sytuację, w której za postulatami kongresu, za ich realizacją stoi na całym świecie, w każdym kraju olbrzymia armia obrońców pokoju, armia służąca walce o pokój czynnie, w formie, która w danym kraju będzie właściwa i potrzebna.

Drugą główną przyczyną znaczenia kongresu jest fakt, że jego problematyka nie ograniczyła się tylko do strony wychowawczej, ale że mobilizując psychicznie do dalszej walki o pokój, przekonując o jej potrzebie, celowości i skuteczności, kongres nakreślił nie ogólnikową, jak to często na międzynarodowych konferencjach bywa, ale konkretną linię tej walki. Precyzyjne wytyczne kongresu zawarte w szczególności w orędziu do O. N. Z., sformułowane w dziewięciu punktach, to konkretny program polityczny światowego ruchu obrońców pokoju. I właśnie w fakcie, że wytyczne te są tak precyzyjnie określone, że nie mogą budzić wątpliwości, że stawiają cele walce o pokój, wynikające z rzetelnej analizy obecnej sytuacji międzynarodowej, dopatrujemy się ich politycznej skuteczności i znaczenia.

Propozycje kongresu zmierzające do przywrócenia i utrzymania pokoju zostały skierowane do ONZ, która — jak stwierdził kongres — nie spełnia nadziei narodów na zachowanie pokoju i spokojnego życia.

Znamienne są słowa Manifestu Drugiego Światowego Kongresu: „Narody chciałyby mieć nadzieję, że Organizacja Narodów Zjednoczonych nawróci do tych zasad, na jakich została utworzona". Dalej czytamy jednak: „Narody świata pokładają jeszcze więcej nadziei w sobie samych, w swej zdecydowanej postawie i w swej dobrej woli".

Drugi Światowy Kongres Obrońców Pokoju otworzył nowy etap w walce o pokój. Kongres dał tej walce praktyczny program polityczny. Nie ulega wątpliwości, że ten nowy etap przyniesie światowemu ruchowi obrońców pokoju nowe sukcesy.

Pragniemy w zakończeniu naszego dzisiejszego notatnika wspomnieć jeszcze o akcie politycznym, który nastąpił już po Drugim Światowym Kongresie, a który ma niepoślednie znaczenie dla sprawy pokoju w Europie i dotyczy bezpośrednio naszych polskich interesów narodowych.

Dnia 28 listopada br. minister spraw zagranicznych Niemieckiej Republiki Demokratycznej Dertinger i szef Polskiej Misji Dyplomatycznej w Berlinie, ambasador Izydorczyk, dokonali wymiany dokumentów ratyfikacyjnych układu z dnia 6 lipca 1950 r. o wytyczeniu ustalonej i istniejącej niemiecko-polskiej granicy państwowej na Odrze i Nysie, zawartego między N. R. D. a Republiką Polską.

Ten ostatni akt dyplomatyczny ustalający ostatecznie niemiecko-polskie stosunki graniczne nie wymaga żadnych komentarzy. Jego wymowa jest uderzająca. Stanowi on jeszcze jeden dowód, że światowy ruch pokoju potrafi obalać bariery dawniej nie do obalenia.

LISTY NIKODEMA

Jan DOBRACZYŃSKI

LIST DWUDZIESTY SZÓSTY

Drogi Justusie!

Zdziwi cię pewno mój list. Tak dawno nie pisałem. Może zacząłeś sądzić, że nie napiszę już nigdy więcej, że zapomniałem o tobie, lub że nie żyję. Żyję i pamiętam o tobie, mój mistrzu. Ale pod jednym względem twoje przypuszczenie byłoby słuszne: jest to ostatni list, który piszę do ciebie.

Pewno zapytasz: dlaczego? Nie każ mi tłumaczyć rzeczy, które rodzą się w człowieku jak nakaz. Odchodzę. Powiedziałem ci w ostatnim moim liście: zadanie zostało wyznaczone, środki dane... Jeszcze czekałem na hasło. I ono już przyszło. Od tej chwili ziemia pali mi się pod stopami. Odchodzę... Ciekawi cię może dokąd? I na to trudno mi odpowiedzieć. Idę do ludzi, którzy mnie potrzebują...

Nie ja jeden. Rozchodzimy się wszyscy. Po raz drugi i tym razem na zawsze. Dzień Pański może bliski. Tak twierdzi Piotr. Więc powiedział: „Idźcie gdzie wam Duch każe iść. Tu, na ziemi Judy i Izraela pozostanie jeszcze ja, pozostanie Jakub, brat Pański i Jakub syn Zebedeusza. Ale reszta niech idzie i to śpiesznie, bo mniej może macie przed sobą czasu niż drogi. Idźcie... Niech Jezus będzie z wami." Gdy Piotr mówi, słuchamy go posłusznie. Podwinęliśmy nasze kuttony do drogi, wzięliśmy w ręce kije podróżne, a ci, co nie byli wybrani przez samego Pana, jak ja, uklękli, by wziąć błogosławieństwo złożonych rąk. Tak czyni Piotr i tak polecił czynić wobec drugich, aby dar nauczania nie szedł od każdego z nas, ale tylko za naszym pośrednictwem od tych, którzy byli pierwszymi Jego świadkami...

Ty, który mnie znasz od tak dawna, Justusie, może się dziwisz, że będąc faryzeuszem klękam przed amhaarezami z Galilei i biorę ich błogosławieństwo jako najcenniejszy dar na drogę. Ale tyle się zmieniło. Nie wiem, doprawdy, czy potrafię wszystko opisać. Te kilka lat przepłynęło śpiesznie jak woda w Jordanie i tyle zmian przyniosło. Ostatni mój list mówił ci o zstąpieniu Pocieszyciela i o wielkiej mowie Piotra. Widzisz, tak już pozostało: Piotr mówi teraz pierwszy i co on mówi, my przyjmujemy z pokorą. Chociaż on wcale się nie zmienił. Jest taki sam, jaki był... Mówi nadal językiem nieuczonych



prostaków, ma dłonie po staremu wielkie i twarde, zdarza mu się postępować zbyt szybko lub namyślać zbyt wolno... Waha się, tchórzy — ale nie wobec niebezpieczeństwa. Ustępuje swoim. Wobec Sanhedrynu i wielkiej rady faryzejskiej okazał odwagę godną Machabeuszów. Gdy go zamknęli w więzieniu po raz pierwszy razem z Janem po uzdrowieniu przezeń żebraka spod „Pięknej" bramy, powiedział do swoich sędziów: „Sądzicie nas za to, żeśmy wrócili zdrowie biedakowi, który przez lata całe leżał i błagał pomocy? Wiedzcie więc, żeśmy go uzdrowili nie własną sztuką, bo jesteśmy tylko prostakami, umiejącymi jedynie zarzucać sieci, ale imieniem Jezusa, któregoście wy ukrzyżowali! Chcieliście Go zabić, lecz On zmartwychwstał i czyni dobro..." Takim człowiekiem stał się Piotr. Drży, gdy przychodzą go pytać, jak należy się modlić, lub jak czynić „łamanie Chleba" — i wtedy zanim odpowie, modli się i naradza. i boleje, jak kobieta, rodząca po raz pierwszy. Drży, gdy zdarza się mu uzdrawiać. Drży najbardziej, gdy musi rozsądzać sprawy między braćmi... Ale wobec Sanhedrynu nie drży już teraz nigdy! Był znowu w więzieniu razem z innymi. W nocy zstąpił Anioł i wyzwolił ich. Natychmiast, z pierwszym świtem powrócił pod portyk Salomona, by dalej nauczać i mówić. Arcykapłan sprowadził go przed swój sąd. „Jak śmiesz opowiadać wciąż o tym twoim Jezusie!" — krzyknął z góry. I uderzył pięścią w poręcz fotela. Byłem wtedy z nimi, widziałem i słyszałem. Mnie odeszła odwaga. Ale ani jeden muskuł nie drgnął na szerokiej, prawie kwadratowej twarzy dawnego rybaka z Betsaidy. „Bardziej — odpowiedział — trzeba słuchać Bo-



ga niż ludzi..." Arcykapłan i reszta sędziów patrzyli na niego z nienawiścią ale bez słowa. Cóż mogli powiedzieć? Taka odwaga rozbraja. A on podjął znowu swym gromkim huczącym głosem, który brzmi jak fala na jeziorze Genezareth, gdy na Wielkim Morzu rozpoczyna się burza: „Jezusa, któregoście zabili, Bóg wskrzesił. On jest zbawcą Izraela. My zaś świadczyć o tym będziemy, jak świat długi i szeroki, czy pójdziecie z nami, czy się sprzeciwiać nam będziecie..."

Nie dziw się więc, że klękam przed tym człowiekiem i bije mi serce, gdy jego ręka dotyka mego czoła, ust i piersi. Przez tamte lata był mi zgorszeniem. Wiele razy myślałem: on albo ja... Albo Jezus odprawi tego głupca, albo ja nie mogę za Nim iść... I dziś także zdarza mi się myśleć inaczej niż myśli Piotr. Ale wiemy: coś z Mistrza zostało w Piotrze... Oh, nie wiele, nie wiele przynajmniej, by można było zobaczyć. Co On mówił, tego nie można było nie przyjąć. Co mówi Piotr, na to tak często trudno się zgodzić. To samo przyznaje Szaweł. A przecież w tym wielkim, zbyt wielkim po prostu ciele, pali się inny jeszcze ogień, niż w każdym z nas...

Nie jestem już zresztą faryzeuszem. Stałem się minim. Rada faryzejska usunęła mnie. Rzucono na mnie herem. Nie jestem także członkiem Sanhedrynu. Uznano mnie za stale nieczystego. Nie posiadam moich bogactw. Pamiętasz, jak ci pisałem, że mógłbym wykarmić nimi przez trzy dni cały naród żydowski? Przez dwa lata prawie żyli nimi



wszyscy nazarejczycy (tak się nas nazywa tutaj) w świętym mieście i jeszcze wiele pieniędzy posłaliśmy braciom z innych miast. Pałac sprzedałem, zaś to, co za niego otrzymałem, diakoni rozdali między najuboższych. Nie zostawiłem sobie nic poza domem, w którym On ucztował po raz ostatni, w którym spadł na nas Pocieszyciel, — i w którym żyła Ona...

Ona... Ostatni ziemski ślad Jego życia zatarł się z Jej odejściem. Jakub, Józef. Juda, Szymon. siostry Pańskie — to dalekie cienie. Ona, to było coś zupełnie innego. Jej twarz — to Jego twarz, Jej ruchy — Jego ruchy... Dziecko dziedziczy twarz i gesty po rodzicach. On miał wszystko tylko po Niej... A może to Ona miała po Nim? Może On, który stał się o całą wieczność wcześniej niż zstąpił w Nią dzieckiem, może On odcisnął na Jej czole i oczach, i ustach — Swoją myśl, Swoje spojrzenie, Swój uśmiech?

W ciągu całego Jego życia była ciszą. Nawet gdy przez ostatnie lata słuchałem Jej opowiadań — a mówiła dużo, bo ludzie chcieli o Nim słyszeć i przyjeżdżali z daleka, z Antiochii, z Tarsu, z Aleksandrii, by im opowiadała, — zawsze były w Jej słowach tylko Jego słowa, tylko Jego czyny. Ona jakby nie istniała. Była kimś, niby drzewo, w cieniu którego rozgrywa się bajka. Dwa razy tylko — opowiadała o tym z uśmiechem, z jakim ojciec wtajemnicza syna w swe słabości, — gałąź tego drzewa obwisła nisko, jakby się chciała wplątać w dokonującą się historię. Pierwszy raz to było wtedy, gdy On był jeszcze dzieckiem i zagubił się w świętym mieście, Ona zaś i Józef beztrosko wracali do domu. Biegła potem z powrotem, z włosami starganymi, które opadły Jej spod chusty, z falującą piersią, z ustami pełnymi drżeń... Przebiegała po sto razy te same uliczki, nieśmiała chłopka galilejska stukała zuchwale do drzwi nieznanych domów. Chciała krzyczeć z przerażenia. Nie rozumiała wielu spraw, ale Jej serce mówiło, że to Dziecko urodzone bez mężczyzny jest bogactwem świata, które nie może zginąć, gdy znajduje się w Jej rękach. Nie o siebie się bała, choć czuła się winną większych zbrodni niż mordercy i świętokradcy. Niechby wszystko spadło na mnie, powtarzała po tysiąc razy, lecz oni, Panie, są niewinni... Biegła, dysząc, w górę, po zboczu Moriah. Przebiegała krużganki. potrącając ludzi i zmuszając faryzeuszy lękających się zanieczyszczenia do schodzenia Jej śpiesznie z drogi. A kiedy Go odnalazła, uczynił rzecz, co Ją jeszcze po latach zdawała się boleć najmocniej: zrobiła Mu wyrzut, że oto siedzi spokojnie, w kole dostojnych Soferim, gdy Ona biega po mieście jak oszalała ze strachu i rozpaczy. „A On — wciąż mówiła z tym samym uśmiechem, — powiedział: cóż to znaczy, żeście mnie szukali?" Nie to Ją dotknęło, że tak powiedział. Poczuła ból uświadomiwszy sobie, że tak Jej musiał powiedzieć; iż musiał Jej przypomnieć, że wobec spraw Bożych niczym jest strach i żałość, i że Boga nie gubi się przez nieuwagę...

— Drugim zaś razem — mówiła cicho, łagodnie, my zaś, którzy przychodziliśmy słuchać Jej opowiadań, wstrzymywaliśmy prawie oddech, aby nie uronić ani jednego słowa, — zdarzyło się to na początku, gdy tylko zaczął nauczać... Mówił wtedy w Kafarnaum, w domu pewnego pobożnego człowieka, a tłum nieprzeliczony pchał się do środka i chciał słuchać Jego słów. Przyszli także doktorzy, znawcy pism, faryzeusze i gniewnie poczęli wykrzykiwać, że Jego nauka pochodzi od szatana. On zaś im odpowiadał: stanowczo i surowo. Nie byłam tam, ale przybiegły do mnie kobiety i synowie Alfeusza, wołając, że Jezus przekroczył miarę w słowach i że jeśli Mu nie przerwiemy, doktorzy oskarżą Go przed Antypasem, a on Go zamknie w więzieniu, jak Jana. Chyba oszalał? — powtarzano wokoło mnie — chyba oszalał?! Ogarnął mnie lęk. Przestałam myśleć. W uszach mi tylko dzwoniło: wezmą Go, zamkną w Macheroncie wezmą



Go... Pobiegłam razem z innymi. Do domu nie można się było docisnąć: ludzie tłoczyli się wokół, oblepili drzwi i okna, stali na dachu. Poprosiłam tylko, by Mu powtórzono: stoimy przed domem i chcemy, abyś więcej nie mówił... Wyjdź do nas... Nie rozumiałam, wciąż nie rozumiałam... Ponad ramionami ciżby doszedł mnie Jego głos — głos, który słyszałam przez lata i którego każde słowo pozostawało we mnie, by się narodzić po raz drugi... Zapytał, jak wtedy w świątyni: „Cóż, że Matka i bracia moi? Moją matką i braćmi wy jesteście... Każdy, kto czyni wolę Ojca mego, jest moim bratem i matką..." Od razu przeszył mnie ból — ból ten właśnie, jaki On poczuł, gdy musiał mi to powiedzieć. Czułam zawsze każde Jego cierpienie, nawet gdy go nie rozumiałam. Ale wtedy... On zaś mówił dalej odpierając zarzuty Soferim: „Więc szatan ma wyrzucać szatana?" Znowu zwrócił się do tych, którym powiedział, że są Jego matką i braćmi: „Słyszeliście, kim mnie nazwali? Szatanem? Lecz nie jest uczeń nad swego mistrza. Skoro mnie nazwali szatanem — jeszcze gorzej nazwą was, którzy jesteście moją rodziną... Nie bójcie się jednak, mała trzódko". Płakałam, słysząc Jego słowa. Nie, nie dlatego, że nazwał obce kobiety Swą matką. Lecz znowu, ukochani, zapomniałam, że mnie nie wolno się bać...

Piotr chciał, aby Ona opowiadała o Nim także tym, którzy przychodzili prosić o chrzest. Ale Ona potrząsała głową. „To wasza sprawa — mówiła. — Wy jesteście siewem, który ma urość w drzewo. Dostaliście dosyć. Ja..." — nie kończyła. Wychyliwszy się na chwilę z cienia w dniach oczekiwania na nadejście Ducha, znowu usuwała się teraz w cień. Ale to było tylko złudzenie. Pamiętam jak Jan powiedział na początku o Jezusie: „On będzie rósł — ja będę malał..." I tak się stało: znaczenie i sława Jana zmalały, odkąd Jezus zaczął mówić. Ale z Nią jest inaczej. Ona zaledwie, że *była* za życia Swego Syna. Lecz teraz, kiedy dzień narastał na dniu, jak cegła na cegle, od chwili Jego odejścia — Ona zdawała się róść... Milcząca — poczęła mówić. Nasłuchująca tylko — zdawała się już działać...

Nadszedł taki wieczór... Siedzieliśmy przy Niej we trzech, jak zwykle: Piotr, Jan i ja. Za oknem była wiosna. Ptaki zanosiły się świergotem w gałęziach tamaryszków i duszna woń kwiatów przelewała się z dworu do izby. Stół, na którym dokonała się Przemiana, stał odsunięty pod ścianą. Ona siedziała na środku izby, na ławie, pod wiszącym kagankiem, wokół którego wirował rój ciem. My naprzeciw Niej — na ziemi.

Jej zwykły, pogodny spokój ustąpił tego wieczoru miejsca lekkiemu podnieceniu. Modliła się samotnie cały ranek, a potem chodziła razem z wdowami. roznosić chleb najuboższym i służyć chorym. Ta Kobieta, która mogłaby nic nie robić a tylko zbierać hołdy, nie przestawała ani na chwilę pracować i to więcej nawet niż każda inna z sióstr. Może wciąż pamiętała o słowach: „Moją matką i braćmi są ci, którzy czynią wolę Ojca mego..." Nie było od Niej pracowitszej, bardziej ofiarnej i bardziej — pożądanej. Nie tylko dawała — dawała tak, że ludzie cieszyli się, mogąc brać z Jej rąk... Pokazywała jak to należy robić. Szczepan, którego zamordowano, był Jej uczniem w dawaniu. On umiał także dawać. Może dlatego, gdy rozbijano mu głowę w dolinie Cedronu, widział niebo otwarte i Jezusa na Prawicy Bożej...

Bywała zwykle zmęczona po dniu pracy i gdy siedziała między nami w ciszy, zdawała się drzemać. Ale,



jak ci już powiedziałem, tego wieczoru wydawała się ożywiona, jak nigdy. Jej czarne oczy paliły się na smagłej, pociągłej twarzy, niby dwie gwiazdy, rzucone w studnię. Była dojrzałą Kobietą, która wiele przeszła, a przecież nie było po Niej znać lat, trosk i bólów. Pozostała niezmieniona od czasu, gdy Ją ujrzałem po raz pierwszy na tle morza Galilejskiego. Inni, którzy Ją znają dłużej, mówią, że nie zmieniła się od dnia urodzenia Syna... Może... Tego wieczoru była taka, jakim

(dokończenie na str. 9)

Aleksander HRYBIEŃSKI

REFLEKSJE Z WYSTAWY TRYPTYKU WITA STWOSZA

Tryptyk Stwosza, arcydzieło jednego z największych mistrzów sztuki rzeźbiarskiej późnego średniowiecza, po szeregu lat znów wróci na dawne swe miejsce w Mariackim kościele, gdzie zamknie perspektywę prezbiterium — przedstawieniem „Złotej Legendy" zaklętej w rzeźbę dłutem artysty. Zaśnięcie N. P. Marii w otoczeniu grupy apostołów, Wniebowzięcie Matki Boskiej, Jej koronacja i sceny z życia Chrystusa oraz Marii składają się na treść ołtarza, nad którym Stwosz pracował od 1477 do 1489 roku. Wspomniana „Złota Legenda" podana przez błogosławionego Jakuba de Voragine urodzonego w miasteczku Viraggio koło Genui (1228—1298), podaje, iż Matka Boska przed śmiercią, którą oznajmił Jej anioł — uprosiła dla siebie u Boga trzy łaski, a to: że Chrystus będzie obecny przy Jej śmierci. oraz wszyscy apostołowie, przy czym w owym dniu nie zobaczy Ona szatana, co też w mistrzowski sposób podkreślił i ukazał artysta w swej genialnej rzeźbie.

Pisząc o tryptyku Stwosza należy przypomnieć jego koleje ostatnich kilkunastu lat. Otóż w sierpniu 1939 roku w obawie przed wybuchem wojny — przystąpiono do rozbiórki ołtarza Mariackiego i przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności w celu uniknięcia uszkodzenia rzeźb — z umiejętnością zapakowano poszczególne części tryptyku do drewnianych skrzyń, które następnie galarami, Wisłą — zostały przewiezione do Sandomierza, gdzie umieszczono je w podziemiach tamtejszej katedry. W Krakowie — w ukryciu pozostała scena Wniebowzięcia, oraz rzeźby z ramy ołtarzowej i predelli. Po wkroczeniu Niemców do Polski ołtarz został przez nich zrabowany i wywieziony do Berlina. Na dawnym miejscu pozostała dębowa szafa ołtarzowa, którą dopiero Niemcy w marcu 1940 roku rozebrali. Podczas owej pracy kościół dla wiernych był zamknięty przez kilka dni, zaś przy wejściu do świątyni od strony prezbiterium stale dwóch żołnierzy strzegło dostępu do jego wnętrza. Gdy dnia 17 marca otwarto kościół — przed oczyma widza ukazały się dolne części gotyckich okien ślepych w prezbiterium i od strony południowo-wschodniej mały ganeczek. Na miejscu dużej stwoszowskiej szafy umieszczono mały tryptyk niknący na tle wspaniałego wnętrza świątyni.

Ołtarz Mariacki krakowskiego artysty został następnie wystawiony dla zwiedzających w „Kaiser-Friedrich-Museum" w Berlinie, gdzie w przywiezionej z Krakowa szafie umieszczono rzeźby Stwosza ze sceną Zaśnięcia N. P. Marii i Wniebowstąpienia, oraz płaskorzeźby na skrzydłach ołtarza, całość zaś spoczęła na predelli. Rzeźby przedstawiające Koronację Matki Boskiej w niebie i postacie św. Stanisława oraz św. Wojciecha, a zamykające tryptyk od góry w harmonijną jedność kompozycji — nie zostały tutaj umieszczone. Hitlerowskie Niemcy przywłaszczając sobie zrabowany ołtarz Mariacki, podkreślały zarazem niepolskie pochodzenie Stwosza, co podawała i prasa, a wśród niej także i berliński „Die Woche" z dnia 19. II. 1941 roku w zeszycie 8., gdzie pod reprodukcją opisywanego tryptyku czytamy objaśnienie: — Der „Krakauer Altar" des Veit Stoss, das bedeutendste Schnitzwerk dieses deutschen Künstlers, ist im Rahmen einer Veit-Stoss-Ausstellung im Kaiser-Friedrich-Museum in Berlin zu sehen.

Następnie tryptyk był przechowywany w podziemiach Banku Rzeszy w Berlinie, skąd wywieziono go do Norymbergi umieszczając bezcenny skarb w skale pod dolnym zamkiem. Zrabowany Polsce tryptyk przetrwał w ukryciu cały okres wojny i w końcu, po zajęciu Norymbergi przez wojska amerykańskie, ołtarz Mariacki został przekazany naszemu Rządowi, po czym w maju 1946 zabezpieczony transport przybył do Krakowa.

Od tegoż czasu, to znaczy — począwszy od dnia 2.V.1946 r. do 31.XII 1949 roku została przeprowadzona konserwacja ołtarza z funduszu Ministerstwa Kultury i sztuki w Państwowej Pracowni Konserwacji zabytków malarstwa w Krakowie na Wawelu.

Przypomnieć na tym miejscu wypada, iż poprzednia konserwacja z lat 1932—3., którą kierował prof. Jan Rutkowski i artysta malarz Julian Makarewicz — przyczyniła się do odkrycia malowanego tła w płaskorzeźbach oraz usunięcia zmian w kompozycji z dawnych odnowień.

Przy obecnych pracach zwrócono przede wszystkim uwagę na zabezpieczenie ołtarza przed niszczącym działaniem pasożytów, a więc wszelkie w drzewie otworki, szczeliny czy też kanaliki wypełniono żywicą rozpuszczoną w spirytusie, a części niepolichromowane pokryto minią. Podkreślić należy, iż rzeźby z predelli poddano naprzód — przed rozpoczęciem prac zabezpieczających — gazowaniu dwusiarczkiem węgla. Następnie przystąpiono do usunięcia licznych przemalowań z minionych restauracji, co pozwoliło na ukazanie w płaskorzeźbach pierwotnej, stwoszowskiej polichromii.

Obecnie, po zakończeniu prac konserwatorskich urządzono na Wawelu wystawę tryptyku Mariackiego, który oglądany z bliska — jakżeż inaczej przedstawia się naszym oczom i, tu dopiero dostrzega się niezwykłe wartości rzeźby Stwosza. Na wystawie zadziwiają nas swą siłą i napięciem twórczym artysty poszczególne fragmenty kompozycji, jej rozmiary, a zwłaszcza grupa rzeźbionych postaci ze sceną Zaśnięcia Matki Boskiej, która to grupa posiada 2.80 m. wysokości. Urzekają widza również miniaturowe rzeźby z predelli przedstawiające królów i proroków, a należące do drzewa Jessego z genealogią rodu Matki Boskiej i Chrystusa. Wspomniane postacie, z których każda jest inna, o odmiennym układzie i wyrazie twarzy, zaliczyć należy do klejnotów arcydzieł późno-gotyckich. Dopiero tutaj widzimy, ile trudu musiano włożyć w opracowanie każdego, najdrobniejszego szczegółu w ołtarzu, niczego w nim nie pomijając, co podkreśla benedyktyńską cierpliwość samego mistrza i jego pomocników — przy zdecydowanym znaczeniu pełni realizmu omawianych rzeźb, dopełnionych bogatą paletą malarską Stwosza. Wnikliwa obserwacja życia, człowieka i natury, zapatrzenie się artysty w jemu współczesny świat — pozwoliły stworzyć mistrzowi arcydzieło o nieprzemijającej i powszechnej wartości. W ołtarzu Mariackim widzimy z realizmem ukazany przez Stwosza krakowski lud, różne stany — przy czym wszyscy, a nawet i święci przybrani są w stroje z drugiej połowy piętnastego wieku, ciekawe są również i wnętrza, sprzęty oraz narzędzia dokładnie tutaj odtworzone, a charakterystyczne dla owych czasów. Tło w swych płaskorzeźbach zarzuca artysta kwiatami i zielskiem z naszych łąk, przez co jego dzieło staje się dla nas jeszcze bliższe i swojskie. Stwosz wyrosły na gruncie polskim — z prawdą odtwarza naszą kulturę — kształtującą i jego duszę. Wartość rzeźby stwoszowskiej polega na tym, iż urzeka ona swym pięknem nie tylko inteligenta lub też uczonego, ale również i chłopa oraz robotnika, oto jej wielkość.

Ołtarzem Mariackim zajmowali się i pisali o nim liczni historycy sztuki oraz przedstawiciele różnych gałęzi wiedzy — chociażby wspomnieć nazwiska profesorów: Waltera i Szafera, bogata jest bibliografia przedmiotu — przy czym ostatnio z dużym naciskiem podkreśla się wielki realizm u Stwosza, którym tchnie jego rzeźba.

Wzorowo urządzona wystawa daje możliwości bliższego poznania się z pracą Stwosza nie tylko artystom czy historykom sztuki, ale i szerszemu ogółowi. Licznie zwiedzająca wystawę publiczność jest dowodem głębokiego zainteresowania się wspomnianym wyżej arcydziełem.

Tryptyk za kilka miesięcy z powrotem będzie umieszczony w kościele Mariackim, gdzie już postawiono szafę ołtarzową. I oto znowu zobaczymy w prezbiterium starowieczną „złotą legendę" — kolorami kapiących średniowiecznych witraży, dopełnionych już dzisiaj odrestaurowaną matejkowską polichromią.

Aleksander Hrybieński



Wit STWOSZ: Głowa i ręce apostoła (fragment Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny)



Wit STWOSZ: Anioł (fragment Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny)



Wit STWOSZ: Fragment z Pokłonu Trzech Króli.

Roger AUBERT

O ENCYKLICE »HUMANI GENERIS«

Od czasu zakończenia wojny katolicyzm francuski przeżywał stan intensywnego wrzenia objawiającego się jednocześnie w dziedzinie metod duszpasterskich (księża - robotnicy, Mission de Paris, Ośrodek duszpasterstwa liturgicznego, religijność rodzinna, itp.) i w zakresie myśli filozoficznej i liturgicznej. Ci wszyscy, dla których nie jest ideałem utrzymanie bez najmniejszej zmiany tego, „co robiło się zawsze" i tego, „co zawsze było mówione", — uważają, że bilans tych kilku lat okazał się niezwykle płodny w obu dziedzinach. W obu wypadkach także było — jak zwykle w życiu — nieuniknione, że zdarzali się ludzie, którzy próbowali iść zbyt szybko; zdarzały się pewne fałszywe kroki, pewne tezy przesadne. W tych warunkach powstała konieczność interwencji najwyższego Autorytetu. Otóż właśnie z perspektywy roztropności należy rozumieć Encyklikę „Humani Generis"

Co naprawdę zawiera Encyklika? Streszczać ją jest dość trudno, nie ma ona bowiem jedności kompozycyjnej właściwej innym dokumentom tego typu. Jest zespołem przestróg i wyjaśnień dotyczących zarówno metod filozoficznych, egzegezy Pisma Świętego oraz teologii, jak i kilku zagadnień szczegółowych. Są jednak pewne problemy zasadnicze będące podłożem większości tych błędów, przed którymi Papież ostrzega filozofów i teologów katolickich. Są to z jednej strony przesadne uogólnienia ewolucjonistyczne, z drugiej zaś strony — pomijanie znaczenia umysłu ludzkiego i roli nauczycielskiej Kościoła.

Ten podwójny błąd jest dziś przede wszystkim reprezentowany przez kalwińskiego teologa Bartha i jego uczniów. Wyrażając radość z tego, iż szkoła Bartha zrywa z liberalistycznym protestantyzmem, głosząc na nowo to, czego Kościół katolicki nigdy nie przestawał twierdzić, że „Słowo Boże zachowane w Piśmie Świętym jest podstawą teologii", — Papież jednocześnie ubolewa widząc ich przejście z jednej krańcowości w drugą: aby podnieść wagę Boskiego Objawienia, odrzucają oni rolę człowieka w docieraniu do prawd religijnych.

Jeśli zaś chodzi o uogólniony ewolucjonizm, to jest on jednym z charakterystycznych znamion naszych czasów. Nie poprzestaje się na kreśleniu dziejów życia organicznego od jego najskromniejszych początków, ale tworzy się również historię filozofii, religii, nawet — historię dogmatów. Ten ewolucyjny punkt widzenia wtedy, kiedy ma ambicję sięgania do samej głębi rzeczywistości i myśli ludzkiej, budzi nieufność tych umysłów, które swobodniej obracają się w sferze abstrakcji niż w dziedzinie konkretów; narzuca się natomiast tam, gdzie rozważa się rzeczywistość taką, jaka jest. Stanowi on jednak wielkie niebezpieczeństwo, jeśli nie unika się jednostronnego patrzenia na rzeczy, — wtedy bowiem umysł jest narażony na „odrzucenie wszystkiego, co absolutne, pewne i niezmienne". Bardzo było potrzebne przypomnienie tego niebezpieczeństwa przez Papieża i wskazanie niektórych konkretnych form, jakie w naszej epoce przybiera „hipoteza monistyczna i panteistyczna świata poddanego ciągłej ewolucji"; postawa filozoficzna, która „pomijając niezmienną istotę bytów zajmuje się wyłącznie istnieniem jednostkowym" i która rości sobie z tego tytułu pretensje do zmonopolizowania bardzo szerokiego określenia „egzystencjalizmu"; wreszcie — błędna metoda tworzenia historii idei poprzestająca wyłącznie na notowaniu następstwa zmiennych form myśli i wyrazu, metoda, która „podważa fundamenty każdej prawdy i każdego prawa absolutnego, w tym co dotyczy tak filozofii, jak i samych chrześcijańskich dogmatów", — i popada w całkowity relatywizm.

Jaka powinna być postawa chrześcijańskiego myśliciela wobec nieprawowiernych systemów wynikających z tych błędnych koncepcji? Po pierwsze — odpowiada Papież — postawa życzliwego zainteresowania: „ponieważ choroby leczyć można tylko wtedy, kiedy się je dobrze zna; a następnie dlatego, że niejednokrotnie nawet w twierdzeniach fałszywych kryje się jakieś ziarno prawdy; wreszcie zaś dlatego, że same te twierdzenia skłaniają umysł do badań, do baczniejszego rozważania pewnych prawd filozoficznych i teologicznych".

Równocześnie jednak obowiązuje postawa roztropności. Jest bowiem bardzo łatwo dać się zarazić błędem w trakcie poszukiwania prawdy, którą on ukrywa. Niebezpieczeństwo to zagraża przede wszystkim tym, którzy mają skłonność do przyjmowania z góry przychylnie każdej nowej hipotezy — w obawie, by nie uchodzić za zacofanych, — i tym, którzy zapominają, że praca nad wzbogacaniem myśli chrześcijańskiej może się odbywać w sposób owocny i pewny tylko pod przewodnictwem władzy, którą sam Bóg ustanowił dla ochrony nienaruszalności Boskiego Objawienia.

Papież zresztą podkreśla kilkakrotnie, że większość katolików, którzy dziś wybierają nierozważną drogę, nie należy, — jak to było w epoce modernizmu, pół wieku temu, — do umysłów przesiąkniętych „racjonalizmem" i polegających w większym stopniu na swoim własnym upodobaniu, niż na nauce Autorytetu kościelnego. Przeciwnie, są oni ludźmi głęboko związanymi z Kościołem i odczuwającymi niepokój wynikający z gorącego pragnienia, by ułatwić Kościołowi dostęp do jak największej ilości ludzi dobrej woli. Ta gorliwość duszpasterska jednak może stać się nieopatrzna i obrócić się w fałszywy „irenizm", który zamiast poprzestawać na przedstawianiu prawdy w jej najmniej polemicznym aspekcie, posuwa się aż do zniekształcania prawdy przez zatajenie pewnych aspektów dogmatu katolickiego, lub nawet przez podawanie nowej interpretacji dającej się pogodzić z poglądem nieprawowiernym (zwłaszcza: protestanckim), ale gwałcącej to, co Kościół uważa za zasadnicze.

*

Po tych uwagach metodycznych, można przejść do zasadniczych problemów poruszonych w Encyklice.

W tym, co dotyczy filozofii, podkreślić trzeba przede wszystkim troskę Papieża, by przeciwstawić się obecnemu lekceważeniu scholastyki na korzyść współczesnej filozofii. Zrobi to przykre wrażenie na tych, którzy znają scholastykę tylko z osławionej definicji przypomnianej przez Mgr. Grabmanna: „Kiedy ktoś zajmuje się przedawnionymi zagadnieniami używając przedawnionej metody, mówi się, że to jest scholastyka." — Ale prace ostatnich pięćdziesięciu lat, szczególnie Gilson'a, profesora Collège de France, — pozwoliły dokładniej osądzić potężne syntezy wypracowane przez wielkich myślicieli XIII wieku. Wysiłki tych, dla których św. Tomasz jest nie słupem granicznym, ale gwiazdą przewodnią, zwłaszcza zaś następców Mgr. Merciera w Instytucie Filozoficznym w Louvain, wykazały, że można przejąć najlepsze myśli filozoficzne wieków następnych, pozostając jednocześnie wiernym wobec podstawowych tez i wielkich zasad filozofii tradycyjnej.

Wobec filozofii współczesnej scholastyka ma wyższość z punktu widzenia pedagogicznego — przedstawiając doskonale opracowany system. Stąd także wynika obowiązek nałożony przez Kościół i przypomniany przez Papieża, by posługiwać się syntezą tomistyczną w nauczaniu filozoficznym duchowieństwa. To wyraźne polecenie nie wiąże filozofii chrześcijańskiej w niezmienny system, — ponieważ nie tylko istnieją liczne problemy, kiedy filozofia nie dotyka zagadnień wiary i moralności, a te są „pozostawione przez Kościół do swobodnego dyskutowania przez kompetentne umysły", — ale także przy zagadnieniach mających związek z wiarą „można nadawać filozofii postać coraz lepszą i bogatszą, bronić ją przez bardziej skuteczne wyjaśnianie, uwalniać od pewnych mniej stosownych wykładów, — wzbogacać roztropnie nowymi zdobyczami ludzkiej myśli". Tylko — przypomina Papież — trzeba wiedzieć w jakim stopniu powab nowości może zapanować nad młodymi szczególnie umysłami, trzeba, „by chrześcijanie nie przyjmowali pośpiesznie i lekkomyślnie wszelkich nowości, ale by z wielką ostrożnością rozważali te myśli, by ie najpierw rzucali na szale rozwagi, — w obawie utracenia lub skażenia posiadanej prawdy — z wielką szkodą i z wielkim ryzykiem dla samej wiary".

Zapytywano — w związku z tym fragmentem Encykliki, gdzie jest w sposób dość niejasny poruszone zagadnienie egsystencjalizmu, — czy Papież chce potępić wszystkie formy egzystencjalizmu, nawet chrześcijańskiego. Wydaje się, że nie. Oprócz egzystencjalizmu w typie Sartowskim, Papież gani te formy, które „odrzucają wartość metafizycznego rozumowania". Wydaje się, że chodzi tu np. o Jaspersa. Jest także niewątpliwe, że podobna tendencja — wyrażona mniej lub bardziej jasno — istnieje u pewnej liczby współczesnych myślicieli francuskich. Było by jednak uproszczeniem przypisywać taką tendencję wszystkim tym, którzy zalecają skuteczność metody egzystencjalistycznej. Słusznie zauważono, że wyprowadzanie z ustępów Encykliki wniosków o potępieniu Gabriela Marcel jest takim samym błędem, jaki popełniali ludzie pragnący niegdyś w innych dokumentach papieskich widzieć potępienie Maurycego Blondel. Wyciągać należy przede wszystkim ostrzeżenie przeciwko niewątpliwemu niebezpieczeństwu, jakie kryje w sobie metoda egzystencjalistyczna wówczas, gdy jest używana w sposób jednostronny i z pogardą dla innych aspektów rozważań filozoficznych.

Przestrogi Encykliki odnoszące się do teologii mniej bezpośrednio interesują szeroką publiczność. Należy podkreślić przede wszystkim dwa wyjaśnienia. Papież sygnalizuje najpierw niebezpieczeństwo relatywizmu dogmatycznego, do którego mógł prowadzić niezręczny sposób wyrażania się kilku współczesnych teologów francuskich. Niektórzy z nich sugerowali, że „nigdy tajemnice wiary nie mogą być wyrażone w terminach prawdziwych, ale jedynie przybliżonych i ciągle

(dokończenie na str. 9)

PANNY MARYI WNIEBOWZIĘCIE

Poniższy fragment pochodzi ze słynnej średniowiecznej książki polskiej wydanej w r. 1522 pt. „Żywot Pana Jezu Krysta".

Było to dokonane przez Baltazara Opecia tłumaczenie sławnego utworu łacińskiego pochodzącego z XIII wieku, a przypisywanego św. Bonawenturze. Jest to piękny apokryf średniowieczny, w którym historyczne fakty ewangeliczne są połączone z motywami legendarnymi (np. epizod cudownego przeniesienia Apostołów do domu Marii) i pobożnymi rozmyślaniami.

Panna Maryja, gdy po Wniebowstąpieniu Pańskim i Ducha Świętego zesłaniu sama na ziemi została, tedy na mękę Syna swojego często wspominała, a co którą boleść Jego rozpamiętywała, za każdą miecz boleści serce wnętrzności Jej przechodził. A mieszkając przez piętnaście lat na ziemi, często one miejsca, gdzie miły Jej Syn cierpiał, nawiedzała mówiąc: Tu mój miły Syn biczowan! Tu koronowan! Tu pod krzyżem padł! Tu ukrzyżowan. — A przyszedłszy na miejsce, gdzie w Niebo wstąpił, z płaczem mówiąc, narzekała: Tuś mój miły Synu w Niebo wstąpił, a mnieś tu samą w nędzy i utrapieniu zostawił! O, moja uciecho! Dajże już wieczne odpocznienie Matuchnie Twej miłej! O, najłaskawszy Synu, pamiętaj dzisiaj na mękę Twoją, a wejrzyj na utrapienie moje: gdyż ja smutki cierpię i prześladowania, a Ty używasz wiecznego wesela. Te i insze rzeczy mówiąc, bardzo gorzko płakała. A mając na swych jagodach i obliczu łzy gorące, do domu się zaś z tęsknością wielką wracała, wzdychając do swego miłego Syna.

PANNIE MARYI ŚMIERCI OBJAWIENIE

Gdy Matuchna Boża z takim płaczem narzekała, iż przez tak długi czas bez Syna w wielkiej tęsknicy mieszkała, nie chcąc Jej miły Syn, aby się smuciła, — posłał do Niej Anioła, który Ją od Niego z uczciwością pozdrowił mówiąc: Bądź już wesoła, Dziewico błogosławiona, bo dnia trzeciego będziesz do Nieba wzięta przez Twego miłego Syna: a na znak tego daję Tobie od Syna Twego to żałobne odzienie, w które się obleczesz, i palmę tę, którą przed swym ciałem świętym nieść każesz.

Panna będąc tego poselstwa wdzięczna, wnet na swe kolana poklęknęła, a o trzy rzeczy Jego świętej miłości prosiła. Najprzód — aby Apostoły przy swej śmierci miała. Wtóra — żeby ducha złego przy śmierci swej nie widziała. Mówi tu jeden doktór: o, miła Panno, czemuś o to prosiła? Izaliś się go bała? Wszakżeś Ty, miła Panno, głowę jego podeptała i Tyś sama moc jego skaziła i zniosła; grzesznicy o to prosić mieli, ale nie Ty, Panno miła, któraś nigdy grzechu nie miała. Trzecia — iżby Jej miły Syn zstąpił do Niej, a Jej duszę do chwały Królestwa Niebieskiego prowadził. — Jezus miły w tym wszystkim Matuchnę swą wysłuchał, bo to istotnie jako syn uczynić przybiecał.

APOSTOŁÓW ZE WSZYSTKIEGO ŚWIATA DZIWNE ZEBRANIE

Wtenczas Apostołowie Święci po wszystkim świecie każąc nauczali, a nagle mocą boską zstąpił na nie obłok biały, który ich przed domem Panny Maryi postawił: temu się wszyscy bardzo dziwowali, że się tak cudownie zgromadzili. Panna Najdostojniejsza im powiedziała, iż do Syna iść już miała. Oni poczęli rzewno płakać, iż się z Nią mieli rozstać. Ona ich zaś pocieszyła i swoje im błogosławieństwo dała.

PANNY MARYI, DZIEWICY BŁOGOSŁAWIONEJ, LETKIE KROM BOLEŚCI UŚPIENIE

Potem Dziewica Maryja na śmierć się nagotowała i kościelne sakramenta z nabożeństwem przyjęła, nie żeby ich potrzebowała, ale aby pokorę, posłuszeństwo i przykazanie Boże wypełniła, a naukę nam przez to zostawiła. Albowiem przez trzy dni (jako św. Augustyn pisze) ludzie mają się przygotować na śmierć przez pokutę, Ciało Pańskie i przez ostatnie pomazanie. To wszystko Najświętsza Panna uczyniła, bo się spowiedała, iż takiej łaski godną nie była, którą od Wszechmogącego otrzymała: ale nie żadnych grzechów, — bo ich nie miała. Ciało Pańskie, jako zawsze zwykła, tak i wtenczas przyjęła. Pomazania też ostatecznego (jako wielki Wojciech powiada) aczkolwiek nie potrzebowała, bo ten święty sakrament jest na grzechy powszednie ustanowiony, których Ona nie miała, — tylko dla pokazania zwycięstwa to uczyniła.

Potem Syn Boży po duszę Jej najświętszą ze wszystka rzeszą niebieską z Nieba w wielkiej światłości zstąpił. Którego Ona gdy obaczyła, powstawszy nisko się Mu ukłoniła. A On wesoło na swą Matkę uchechnąwszy spojrzawszy, pozdrowił Ją: Bądź pozdrowiona Matuchno moja najmilsza! Już Ci czas przyszedł, abyś była nad wszystko stworzenie wywyższona i ukoronowana. Przeto powstań, a pójdź już ze mną do Nieba, najmilsza Gołębico moja! Oblubienico moja! Już-ci wszystka niepogodna chwila i pluta minęła! Kwiatki się rozkwitają, ptaszkowie, to jest Aniołowie święci śpiewają. Pójdź już z tego padołu płaczu do wiecznego wesela.

Tym i tak słodkim głosem dusza Najświętszej Panny pobudzona, wyszła wesoło z ciała na łono swego miłego Syna, — który to ciało święte Apostołom na górę Jozafat z uczciwością wielką prowadzić kazał, a tam duszę Jej najświętszą z wielkim weselem do Nieba prowadził i blisko Przenajświętszej Trójcy posadził.

PANNY MARYI CHWAŁA NIEBIESKA

A gdy Panna Najświętsza podług duszy nad wszystko stworzenie była podwyższona, Bóg Ojciec chcąc Jej przed wszystkimi błogosławionymi Anioły i Świętymi cześć uczynić, rzekł: Oto czas, którego umarła Matka Syna miłego, słuszna, aby już wzięła zapłatę żywota swojego. Jakąż tedy łaskę i cześć mam Jej uczynić i Jej najświętszemu Ciału: w której żywocie Ciało Syna mego przez Ducha Świętego jest sprawione i z duszą złączone: w którym dziewięć miesięcy odpoczywało: od której porodzon, pokarmion, obłapian, całowan, a wisiący na krzyżu opłakan był.

Tedy wszyscy święci Aniołowie i błogosławieni, z upadnieniem niskim Boga chwaląc, mówić poczęli: Wielki Pan i wielka moc Jego! A mądrości Jego nie masz liczby. — Drudzy zaś mówili: Z Tobą, Panie, mądrość, która zna uczynki Twoje i z Tobą była, gdyś stworzył świat i widziała, co jest miłego i do upodobania przed oczyma Twymi. Ty wiesz, miły Panie, że-ć godną jest, aby była podwyższona nad nasze wszystkie Chóry Anielskie z duszą i z ciałem. Jako tedy Bóg Wszechmogący od wieków postanowił, że Ją z duszą i z ciałem nad wszystkie Chóry Anielskie podwyższył.

Mateusz T. MILEWSKI

NA MARGINESIE

Powtarzanie w jak przełomowych czasach żyjemy dzisiaj, w połowie XX wieku, byłoby truizmem. Nie ma chyba wśród naszych czytelników nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy, że ludzkość znajduje się na bardzo ważnym zakręcie swoich dziejów, że wkracza na nową drogę, na której w nowych warunkach materialnych i społecznych poruszać się będzie nowy człowiek. Przemiany i wstrząsy ostatnich kilkudziesięciu, a szczególnie kilkunastu lat są tak głębokie, liczne i absorbujące, że w ich nawale baczny nawet obserwator mógł nie dostrzec jednej, zupełnie zasadniczej zmiany. Na nową drogę wkracza nowa ludzkość, ściślej mówiąc inna i nowa jej masa — i na to właśnie zjawisko chcemy zwrócić uwagę naszych czytelników.

Rodzaj ludzki przez setki tysięcy lat historii rozmnażał się niesłychanie powoli. Na niezmierzonych obszarach powierzchni globu żyły niewielkie i nieliczne gromady naszych praojców. Dopiero rozwój rolnictwa, możność łatwiejszego i pewniejszego zdobywania środków żywności, przyśpieszyły rozwój cywilizacji i podniosły przyrost naturalny. Jednak bardziej równomierny i coraz szybszy przyrost ludności datuje się dopiero od jakichś 300 lat. Dokładne spisy ludności zapoczątkowano wprawdzie nie dawniej jak w początkach XIX wieku, ale na podstawie dość przekonywających obliczeń można przyjąć, że na początku naszej ery ludność Ziemi wynosiła 180 milionów, w roku 1650 — 545 milionów, w roku 1750 — 728 milionów, w 1850 — 1.171 milionów, a w końcu roku 1950 — około 2.400 milionów.

Co nam te cyfry mówią? Nie tylko to, że w ciągu ostatnich stu lat ludność Ziemi się podwoiła, lecz — co ważniejsze — że skala przyrostu rośnie stale i bez przerwy od 300 lat. Obecnie wynosi ona prawie 1% w stosunku rocznym, czyli co rok przybywają na Ziemi około 24 miliony ludzi, tyle mniej więcej, ile liczy cały naród polski. Za 25 lat ludność Ziemi może osiągnąć liczbę 3 miliardów.

Wzrost liczby ludności na naszej planecie można porównać z cienkim i długim lontem, którego płomień przez 99% dziejów ludzkości tlił się i pełznął powoli — aż dotarł do materiału wybuchowego i spowodował eksplozję. Eksplozja demograficzna nastąpiła w okresie rewolucji przemysłowej. Zmieniły się warunki życia; postęp techniczny podniósł kolosalnie produkcję środków żywności; wielkim krokiem ruszyła naprzód medycyna, poprawiły się warunki sanitarne i higieniczne, wzrosła ochrona życia ludzkiego — a więc zmniejszyła się śmiertelność.

Ponieważ rewolucja przemysłowa zaczęła się w Europie — tutaj też obserwujemy początki rewolucji demograficznej. W ciągu ostatnich trzech wieków ludność Europy wzrosła 6-krotnie, podczas gdy na pozostałych lądach świata tylko 3-krotnie. 'mpet przyrostu naturalnego Europy wiąże się z kolosalną ekspansją białej rasy na całą planetę, z jej dominacją nad ludami „kolorowymi"; końca tego panowania jak i desperackich wysiłków, podejmowanych przez kraje kapitalistyczne, aby je przedłużyć, jesteśmy dzisiaj świadkami.

Przyrost naturalny ludzkości jest sprawą zasadniczej wagi. Ogólny, w skali światowej, wywołuje konieczność rozwiązywania wciąż nowych problemów gospodarczych, stawia zadanie wyżywienia coraz bardziej rosnących rzesz ludzkich. W skali poszczególnych ras, państw czy narodów jest jednym z najbardziej decydujących czynników w układzie politycznym świata. Hierarchia i potęga państw i narodów, ich możliwości działalności i ekspansji gospodarczej, politycznej, społecznej i kulturalnej są w znacznym stopniu uzależnione od dynamiki ich przyrostu naturalnego. Od tego, czy naród jest młody, prężny i dynamiczny, czy też minął już szczytowy punkt rozwoju i wkracza w początek zmierzchu swego istnienia.

Przybliżona liczba ludności w milionach
pięciu krajów europejskich w latach:

	1800	1850	1900	1940	1970	2000
Rosja-ZSRR	39	61	109	174	251	350
Francja	28	36	41	41	37	22
Niemcy	25	36	56	70	70	46
Włochy	18	24	32	44	50	48
Wielka Brytania	10	21	37	46	42	32

Źródła: 1800, 1850, 1900 Mały Rocznik Statystyczny 1939
1940-1970 Office of Population Research Princeton University, USA
2000 Political and Economic Planning Burgdörfer ect.

TABLICA I.

Znaczenie przyrostu naturalnego w skali światowej jak również jego wpływu na powstawanie i upadki mocarstw jest tak zasadnicze i oczywiste, że, bez wyliczania mnóstwa okoliczności ubocznych, wystarczy do wykazania wagi demografii, nauki badającej prawa, rządzące ruchem ludności i dającej nam liczbowy obraz pokoleń minionych, współczesnych i przyszłych. Materiału do badań demografii dostarczają spisy ludności, rejestracje urodzeń i zgonów i statystyki. Materiał ten służy jako podstawa do bardzo skomplikowanych obliczeń matematycznych, a znaczenie jego ścisłości i prawdziwości nie wymaga chyba wyjaśnień.

Demografia zbiera i daje cyfry. W ludziach, którzy patrzą na nie w oderwaniu od życia, łamią głowy nad fikcyjnymi obliczeniami sytuacji bliskiej czy dalszej przyszłości, cyfry te budzą po prostu panikę. „Za 100 lat będzie na Ziemi 6 miliardów ludzi, za dwa wieki 9 miliardów, za 1.600 lat na każdego mieszkańca globu wypadnie już tylko po 1 m² ziemi!" — wyliczają demografowie Zachodu. Znalazł się nawet uczony, który wyrachował, za ile lat waga ciał ludzkich na naszej planecie dorówna wadze samej kuli ziemskiej. Astronomiczne cyfry sieją panikę i budzą najbardziej pesymistyczne przewidywania. Wielkie dzwony neomaltuzjanów biją na alarm i nawołują ludzkość, aby się opamiętała, aby szukała najbardziej zbrodniczych dróg ratunku przez groźbą przeludnienia.

A przecież dzisiaj rozpatrywanie zagadnienia ludności Ziemi jako całości jest fikcją, robienie na ten temat daleko idących obliczeń matematycznych prowadzi do absurdu. Umiejętność dodawania, znajomość tabliczki mnożenia, a nawet wyższej matematyki pozwalają na uzyskanie szeregu suchych cyfr — to jeszcze nie wystarczające kwalifikacje do wyciągania wniosków demograficznych. Zagadnienie jest znacznie bardziej złożone; na razie opanowane tylko w skali regionalnej wymaga bardzo sumiennej analizy i lat pracy, po których dopiero będziemy kiedyś zdolni do syntezy w skali planetarnej.

Liczba ludności poszczególnych krajów zarówno jak cyfra ludności całej Ziemi podlega ustawicznym zmianom. Zjawisko to nazywamy ruchem ludności. Jeżeli rozpatrujemy zagadnienie w skali globalnej — ruch ludności pokrywa się z przyrostem naturalnym; na terenie poszczególnego kraju dla uzyskania danych dotyczących ruchu ludności musimy poza przyrostem naturalnym brać pod uwagę drugi element — wędrówki ludności z kraju do kraju.

Aby wnioski wyciągane z cyfr przyrostu ludności miały znaczenie prawdziwe, nieoderwane od życia, do badania ruchu ludności należy podchodzić metodą dialektyczną — jako do procesów historycznych na tle środowiska geograficznego, w nierozerwalnym związku przyczyny i skutku, w perspektywie czasu i przestrzeni. Obraz demograficzny jaki uzyskamy przy pomocy dialektyki nie będzie w niczym przypominał mętnego i ponurego obrazu neomaltuzjanów. Będzie żywy, barwny i niejednolity — mozaika problemów, które za kilka lat tak mogą zmienić rzeczywistość, że obraz trzeba będzie malować od początku. Każdy kontynent, kraj, miasto a nawet najmniejsza wioska to osobny problem demograficzny, gdzie ruch ludności może znajdować się w zupełnie innym miejscu swego cyklu rozwojowego, niż w sąsiednich osiedlach. Dla zorientowania się, ile ciekawych danych i cennych obserwacji dają badania demograficzne, przeprowadzone systematycznie na niewielkich nawet obszarach, starczy przeczytać artykuł prof. Czekanowskiego (Tygodnik Powszechny, nr 294) o pracach księży Długosza i Motyki. Opracowany przez nich materiał demograficzny, czerpany z ksiąg parafialnych kilkunastu wsi dorzecza Raby za okres około 150 lat daje szereg niezmiernie interesujących informacji o ruchu tamtejszej ludności, jej stanie zdrowotnym, zmianach, związanych z wyzwoleniem spod zaboru itd. Nie ma dość silnych słów dla podkreślenia zasług tych dwóch księży. Gdyby każdy proboszcz i każdy nauczyciel szkoły powszechnej prowadził podobne badania na swoim terenie — dopiero wtedy mielibyśmy pełny obraz demograficzny i moglibyśmy zrozumieć wszystkie procesy rozwojowe naszego narodu.

Elementami podstawowymi ruchu ludności w skali państwowej są — różnica liczby urodzeń i zgonów, imigracja i emigracja. W demograficznym podchodzeniu do zagadnienia czynniki decydujące o naturalnym ruchu ludności to — spółczynnik urodzeń, czyli rozrodczość, i spółczynnik zgonów, czyli śmiertelność. Każdy z tych spółczynników określa ilość urodzeń czy zgonów na tysiąc ludzi badanego narodu czy grupy społecznej. Różnica między tymi spółczynnikami daje spółczynnik przyrostu naturalnego — mówiąc krócej przyrost naturalny.

Porównując przyrost naturalny dwu grup ludności musimy zawsze pamiętać, że najistotniejszą jego treścią są dwie podstawowe liczby, których różnicę przedstawia jego cyfra, a mianowicie spółczynnik urodzeń i zgonów. Weźmy przykład: w roku 1937 przyrost naturalny w Indiach wynosił 11,7 — w Holandii 11,0. Mimo tak zbliżonych danych przyrostu naturalnego obydwa kraje mają krańcowo różne stosunki demograficzne. Indyjska cyfra 11,7 jest różnicą bardzo wysokiej rozrodczości (33,7) i bardzo wysokiej śmiertelności (22,0), — holenderska 11,0 — dość wysokiej rozrodczości (19,8) i jednego z najniższych ze współczynników zgonów (8,8). Obydwa kraje o zbliżonym przyroście naturalnym znajdują się w dwu różnych fazach cyklu rozwojowego ruchu ludności.

W ramach krótkiego artykułu niesposób przedstawić całego olbrzymiego bogactwa faktów, dotyczących ruchu ludności poszczególnych ras i narodów. Wymienimy tylko jeden charakterystyczny przykład: dziwnym zbiegiem okoliczności w r. 1945 w Palestynie ustalone zostały dwa oficjalne „rekordy" światowe — Arabowie osiągnęli najwyższy spółczynnik urodzeń (54,2), Żydzi zaś najniższy spółczynnik zgonów (6,7). Obok tych dwóch skrajnych faktów istnieje cała olbrzymia gama rzeczywistości pośrednich, ulegających nieustannym, rok rocznie notowanym przez statystyki zmianom, ogłaszanym dawniej przez Ligę Narodów, dzisiaj przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

W Polsce przedwojennej wszystkie trzy spółczynniki — rozrodczości, zgonów i przyrostu naturalnego wykazały stały i równomierny spadek: w latach 1921 — 1938 rozrodczość spadła z 34,7 na 24,5; śmiertelność z 18,5 na 13,8; przyrost naturalny z 16,2 na 10,7 (Mały Rocznik Statystyczny, 1939).

Badanie omawianych powyżej trzech spółczynników w czasie pozwala na wyodrębnienie trzech faz naturalnego ruchu ludności, przez które przechodzi ludzkość w swych poszczególnych ugrupowaniach.

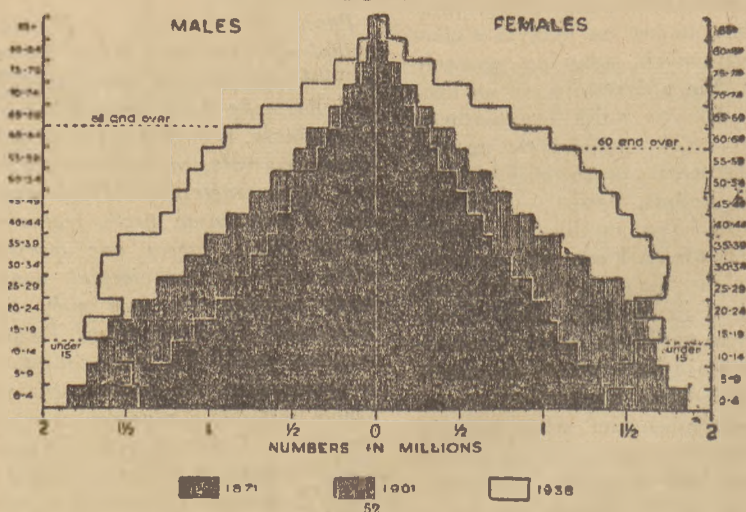
Faza pierwsza obejmuje okres dziejów całej ludzkości do czasu rewolucji przemysłowej. W fazie tej rozrodczość i śmiertelność nie podlegają żadnej świadomej kontroli człowieka, spółczynniki urodzeń i zgonów są bardzo wysokie, przyrost naturalny niski. Klasycznymi przykładami krajów z pierwszej fazy naturalnego ruchu ludności były do niedawna Chiny. W Europie bodaj jedna tylko Rumunia.

W fazie drugiej znajdują się kraje, które dzięki ogromnemu postępowi cywilizacji i kultury, dzięki poprawie warunków bytu, rozwojowi medycyny i higieny, zmniejszyły znacznie śmiertelność, zachowując przy tym wysoką rozrodczość — tężyznę biologiczną i dynamikę demograficzną. Typowymi przedstawicielami tej fazy rozwojowej są: Związek Radziecki, Bułgaria, Holandia, Kanada, Argentyna.

Faza trzeciego następuje wtedy, gdy na skutek wielu złożonych przyczyn jak: urbanizacja, wzrost potrzeb i egoizmu jednostki, małżeństwa w późnym wieku, praca zawodowa kobiet, rozluźnienie więzów rodzinnych, upadek religijności i szereg innych powodów przychodzi „świadome macierzyństwo", ograniczenie ilości dzieci w rodzinie i spadek spółczynnika urodzeń do poziomu spółczynnika zgonów, albo i poniżej, jak to ma miejsce we Francji. W krajach będących w tej fazie liczba ludności jest stała, albo zaczyna się zmniejszać. Społeczeństwo u kresu fazy trzeciej jest społeczeństwem ludzi starych. W fazę tę wkroczyły wszystkie kraje Europy Zachodniej i Północnej, za wyjątkiem Danii, Irlandii i Holandii. Jedynym krajem na świecie, który już i trzecią fazę minął jest Francja. Rok 1935, w którym we Francji na 1000 mieszkańców zapisano 15,3 urodzin i 15,7 zgonów można bez przesady nazwać początkiem końca ludności Zachodniej Europy.

Tablica Nr 1 daje nam obraz minionych dziejów demograficznych pięciu krajów europejskich i przewidywania na przyszłość. Tablica ta wykazuje zmiany jakim podlega ludność tych krajów na przestrzeni ostatnich 200 lat na skutek zmian przyrostu naturalnego. Przy tym należy podkreślić fakt, że na skutek różnego przyrostu naturalnego różnych grup społecznych następują również duże przesunięcia demograficzne w ramach jednego narodu. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że inny przyrost naturalny ma wieś i miasto, katolicy, prostestanci i muzułmanie, proletariat i burżuazja...

W Polsce na przykład jesteśmy świadkami gwałtownego wymierania tej klasy społecznej, która jest przedmiotem znanej rozprawy prof. Chałasińskiego pt. „Społeczna genealogia inteligencji polskiej". Nie ma ścisłego kryterium co to jest klasa „inteligencji", ani tym bardziej jej spółczynników urodzeń i zgonów, z dużą jednak dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, że około roku 1890 na rodzinę inteligencką wypadało przeciętnie czworo-pięcioro dzieci, co przy niskiej śmiertelności czyniło tę klasę biologicznie i psychicznie dynamiczną. Około roku 1920 przeciętna rodzina inteligencka ma już tylko dwoje dzieci, w roku 1950 najwyżej jedno. W świetle demografii inteligencja polska, jako klasa społeczna popełniła samobójstwo jeszcze przed wojną. Nawet bez wpływów ubocznych jak wojna i rewolucja tak gwałtowny spadek przyrostu naturalnego decyduje o likwidacji każdej grupy społecznej w ciągu kilku pokoleń.



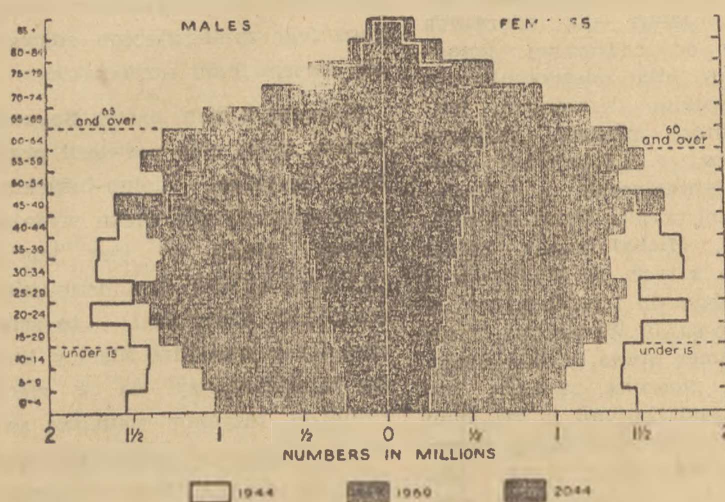
52

TABLICA II.

Jeżeli z rozważań teoretycznych wyłączymy migrację i założymy, że spółczynniki urodzeń i zgonów nie ulegną zasadniczym zmianom — czynnikiem, dzięki któremu ze stanu obecnego możemy wyciągać wnioski na przyszłość jest spółczynnik reprodukcji. Spółczynnik reprodukcji służy do określania stosunku liczbowego pokolenia żyjącego do następnego, stosunku matek do córek, które przyjdą na ich miejsce w następnym pokoleniu. Jeżeli ilość matek w dwóch następujących po sobie pokoleniach będzie taka sama, wówczas spółczynnik reprodukcji równa się jedności. Jeżeli spółczyn-

3 GRUDNIA

nik reprodukcji jakiejkolwiek grupy ludności jest mniejszy od jedności, ilość osób tej grupy będzie się zmniejszać w każdym następnym pokoleniu. Jeżeli zaś np. spółczyn-



TABLICA III.

nik reprodukcji netto wynosi 1,5 — następna generacja ludności będzie o 50% liczniejsza od poprzedniej. Spółczynniki reprodukcji brutto i netto są rezultatami dość zawiłych obliczeń. Żeby nie podawać wzorów matematycznych, przedstawimy te spółczynniki na przykładzie: w roku 1940 przyrost naturalny Żydów w Palestynie wynosił 15,5 (23,7 — 8,2), Arabów zaś 22,7 (47,4 — 24,7). Przyrost naturalny Arabów był więc tylko o 46% większy niż Żydów. Natomiast spółczynnik reprodukcji u Arabów był przeszło 2 razy większy niż tenże u Żydów (2,17 i 1,03). Na miejsce każdej matki-Arabki obecnego pokolenia w następnym pojawią się dwie, na miejscu matki-Żydówki zaś tylko jedna. Ten demograficzny wyścig, w którym pełne szanse zwycięstwa były po stronie Arabów stał się jednym z najważniejszych powodów podziału Palestyny na dwa państwa — żydowskie i arabskie.

W latach 1930 — 35 prawie wszystkie kraje Europy Zachodniej i Północnej miały spółczynnik reprodukcji mniejszy od 1. Anglia, Austria i Niemcy około 0,75. Szwecja, Norwegia, Belgia i Szwajcaria około 0,8. Francja, Dania, Czechosłowacja około 0,9. Finlandia i Węgry około 0,95. Jedynymi krajami Europy Zachodniej, mogącymi się nie obawiać tego, że zaczną wymierać już w następnym pokoleniu były Holandia (1,28) i Irlandia (1,16). Najwyższy w Europie spółczynnik reprodukcji miał Związek Radziecki (1,7), w Azji zaś Japonia (1,6). W Polsce przedwojennej spółczynnik reprodukcji stale spadał: w roku 1927 wynosił 1,3; w 1932 — 1,25; w 1934 — 1,11.

Ale i spółczynnik reprodukcji ostatecznie procesów demograficznych nie wyjaśnia. Francja na przykład ma spółczynnik reprodukcji wyższy niż Szwecja, Anglia i Niemcy, a mimo tego jej przyrost naturalny jest ujemny, podczas gdy we wspomnianych trzech państwach dodatni. Wynika to ze struktury wieku ludności, która jest funkcją przyrostu naturalnego za lata ubiegłe. W historii przyrostu naturalnego starzejących się narodów istnieje pewien charakterystyczny okres, przypadający na koniec trzeciej fazy rozwoju demograficznego. Narody w tym okresie posiadają jeszcze duży kontygent ludzi młodych w wieku odpowiednim do małżeństwa. Jeżeli nawet ludzie ci mają mało dzieci, spółczynnik urodzeń niski, — spółczynnik śmiertelności w młodym społeczeństwie jest jeszcze niższy, więc przyrost naturalny dodatni. Przed 15 laty Francja znajdowała się właśnie w tym okresie. Żyło jeszcze ostatnie pokolenie z okresu większego przyrostu naturalnego, który załamał się około r. 1885. Z chwilą gdy to pokolenie zaczęło wymierać ze starości, wzrósł spółczynnik zgonów. Spółczynnik urodzeń się nie podniósł z dwóch powodów; pokolenie w wieku rozrodczym jest nieliczne i mała jest ilość dzieci w rodzinie — stąd ujemny przyrost naturalny. Następnymi krajami, które wejdą w ten okres procesu demograficznego będą prawdopodobnie Anglia, Szwecja i Niemcy.

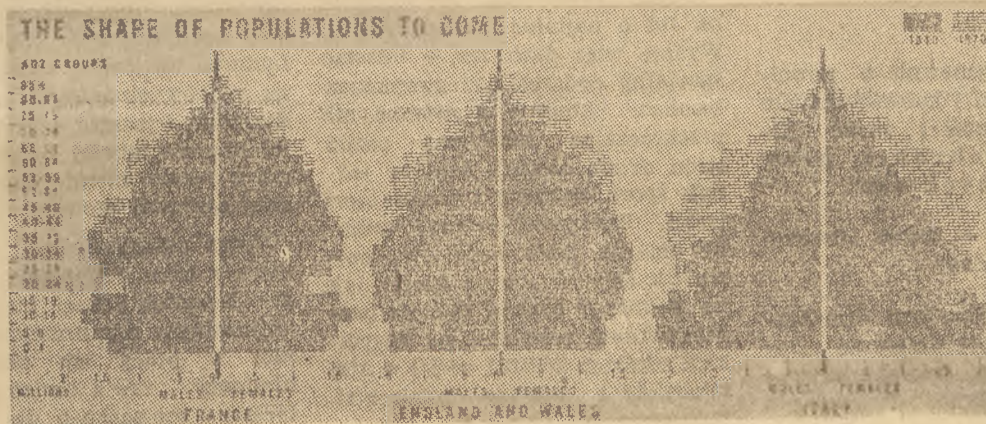
Struktura wieku ludności jest funkcją procesów demograficznych. Zmiany w tej strukturze są więc ostatnim czynnikiem, który należy brać pod uwagę przy badaniu procesów ruchu ludności. Strukturę przedstawia się za pomocą tzw. „piramid ludności”, ilustrujących jasno rzeczywistość demograficzną danego narodu w danym okresie rozwoju. Podane tablice obrazują minione i przyszłe dzieje liczbowego rozwoju narodu angielskiego. Zostały one wzięte z angielskiego wydawnictwa „Population Policy in Great Britain” (P.E.P.1948).

Piramida ludności jest jeszcze jednym sposobem służącym do określenia demograficznej tężyzny i dynamiki ludności. Ma tę dobrą stronę, że kwalifikacje narodu przedstawia w sposób plastyczny. Jest to w pewnym sensie miernik młodości, a tym samym miernik przyszłości danego narodu. Jest to bardzo ważny wskaźnik jego możliwości gospodarczych i politycznych. Młody, zdrowy, pełen tężyzny naród w II fazie cyklu rozwojowego wykaże inną piramidę ludności niż naród w stagnacji, w fazie III. Piramida ludności narodu w stagnacji będzie się różnić od piramidy ludności narodu o ujemnym bilansie urodzeń i zgonów Toteż piramida ludności i jej przemiany są jakby zwierciadłem, w którym odbijają się ważne symptomy biologicznej siły narodu i jego tendencji rozwojowych, które zasługują na bardzo uważną obserwację.

Konstrukcja „piramidy wieku” jest bardzo prosta: jednostki jakiegoś narodu, żyjące w pewnym określonym momencie zostają uporządkowane według płci i wieku, a ich liczba przedstawiona graficzne w formie prostokątów. W dolnym rzędzie idą dzieci od 0 do 4 lat, potem od 5 — 9, itd... aż do najstarszej grupy istniejącej w danej chwili. Takie uporządkowanie daje obraz istniejącej w tym momencie ludności według struktury wieku. Równie prosta jest konstrukcja „piramidy przyszłości”: każda grupa wieku ma swój własny spółczynnik zgonów i na jego podstawie odejmuje się od tej grupy przypuszczalną ilość zgonów w miarę biegu lat. Jednocześnie rok rocznie dodaje się do podstawy piramidy ilość urodzeń, obliczonych według spółczynnika urodzeń.

Główny problem to obliczenie spółczynników urodzeń i zgonów na przyszłość, lecz jest to już zadanie wyższej matematyki.

W roku 1871, kiedy Anglicy byli jeszcze narodem powiększającym ilość swych obywateli, ich piramida ludności przypominała dość regularnie ukształtowany stożek. Absolutna liczba urodzeń wzrastała z roku na rok. Podstawa piramidy zwiększała się proporcjonalnie. W ten sposób od jednego spisu ludności do następnego nie tylko utrzymywała się forma stożka piramidy ludności, ale nawet powiększała się powierzchnia piramidy, a jej podstawa rozszerzała się jak to przedstawia piramida z roku 1901. Po pierwszej



TABLICA IV.

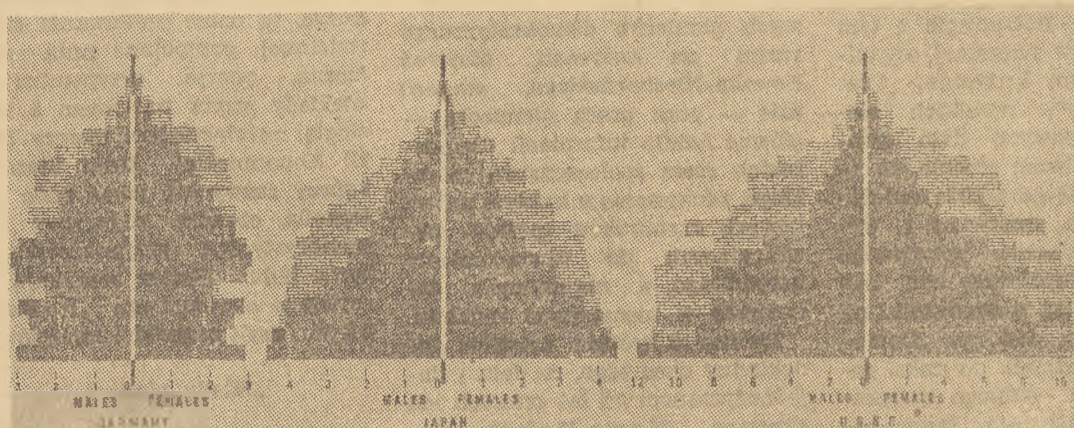
wojnie światowej Anglicy przestali być narodem dynamicznym. Liczba urodzeń nie wystarcza do utrzymania stanu zaludnienia. Świadome macierzyństwo zaczyna podgryzać podstawę piramidy. Niezależnie od bezpośrednich wpływów wojennych na piramidę ludności, zachodzą podstawowe zmiany w strukturze wieku narodu. Piramida ludności traci formę stożka. Jeśli rozwój narodu ma dojść jedynie do stagnacji, do ukształtowania tak zwanego narodu „ustabilizowanego”, piramida ludności przybiera stopniowo formę dzwonu (rok 1938). Jeżeli jednak — na co wskazuje stan obecny — dojdzie do rozwoju wstecznego narodu, piramida ludności przyjmuje kształt stale zwężającej się urny (tabl. III).

Według obliczeń cytowanego wydawnictwa jeżeli spółczynniki urodzeń i zgonów nie ulegną zasadniczej zmianie i jeżeli wyłączyć zjawiska migracji, w roku 2044 Anglia będzie liczyła tylko 14 milionów mieszkańców.

Podobne, choć nie tak wyraźnie zarysowane zmiany rozwoju można ustalić u większości narodów, należących do strefy Europy Zachodniej. Tabl. IV i V pokazuje piramidy wieku 5 największych państw europejskich i Japonii wzięte zostały z amerykańskiego miesięcznika „Fortune”. Powodów tej podstawowej zmiany w strukturze ludności zachodnich narodów Europy należy szukać z jednej strony w ostrym zmniejszeniu liczby urodzin, co prowadzi do ciągłego kurczenia się podstawy piramid z drugiej zaś strony w zmniejszeniu się śmiertelności, wynikającym z lepszej konserwacji żyjących jednostek wieku średniego i starszego.

Ażeby więc móc wyrobić sobie jasny pogląd na procesy demograficzne jakiejkolwiek grupy ludności w jakimś określonym czasie, musimy znać jej spółczynniki: urodzeń, zgonów i reprodukcji, a także strukturę wieku ludności przedstawianą obrazowo w formie piramidy.

Jak już powiedziano, podstawowy materiał do badań demograficznych dają spisy ludności i rejestracje faktów demograficznych. Spisy powszechne, przy których obowiązują trzy zasady: powszechności — obejmowania całej ludności, jednoczesności — notowania wszystkich faktów w oznaczonym dokładnie dniu, a nawet godzinie, i imienności — zapisywania nazwisk i najbardziej osobistych danych ludności. Tak przeprowadzane spisy dają dokładny obraz stanu ludności w społeczeństwie, w zestawieniu z danymi ze spisów poprzednich pozwalają na wyciąganie wniosków i stworzenie obrazu rzeczywistego ruchu ludności danego kraju. Spisy powszechne, kosztowne i trudne, wymagające ogromnego aparatu wykwalifikowanych pracowników odbywają się na ogół co 10, najwyżej co 5 lat i bywają uzupełniane spisami częściowymi, obejmującymi określone grupy ludności jako reprezentację całości, czy poszczególne grupy z jakichś względów interesujące: tylko studentów, tylko techników itd.



TABLICA V.

O znaczeniu demografii w życiu politycznym narodów i w życiu całej ludzkości mówiliśmy powyżej. Wobec ostatnio przeprowadzonego powszechnego spisu ludności w Polsce, spisu mającego dać materiał porównawczy z zebranym w roku 1946, ale i znacznie dokładniejszy — zastanówmy się nad znaczeniem samego spisu, nad znaczeniem danych demograficznych dla narodu, dla ludności państwa, dla jej życia we wszystkich jego przejawach.

Człowiek jest podmiotem i przedmiotem każdej działalności gospodarczej, zmierzającej przede wszystkim do zaspokojenia trzech zasadniczych ludzkich potrzeb materialnych: zdobycia pożywienia, zbudowania dachu nad głową i okrycia naszego ciała. Aby żyć, trzeba mieć żywność, mieszkanie, opał, ubranie, trzeba to wszystko produkować, trzeba mieć narzędzia produkcji itd. Całokształt tej działalności stanowi cel planowej gospodarki ludzkiej. Aby planować słusznie, trzeba wiedzieć, ilu ludzi należy wyżywić, ile par butów trzeba zrobić w ciągu roku, ile jest w kraju mózgów i rąk do pracy. Kto i do czego jest wykwalifikowany, kto i do czego będzie — kto i czego się uczy. Jakie nowe kadry należy wychować i przygotować, które zwiększyć, które ograniczyć, jak najlepiej wyzyskać każdą jednostkę dla jej własnego dobra i pożytku całego społeczeństwa.

Państwo racjonalnej gospodarki planowej zarówno dla słusznego opracowania, jak i sprawnego wykonania planu musi dokładnie znać stan faktyczny liczby swych obywateli, ich życia, potrzeb i możliwości. Musi wiedzieć ile jest szkół, mieszkań, przytułków dla starców i ile teatrów, świetlic, kin czy jadłodajni. Musi wiedzieć, co i komu należy dać i co który obywatel może we wspólne budownictwo socjalistycznej Polski wnieść.

Porównanie danych osiągniętych z ostatniego i obecnego spisu ludności pozwoli na zorientowanie się we wszystkich procesach demograficznych, które mają miejsce na terenie ziem polskich. Da olbrzymi materiał porównawczy do studiowania tych procesów na obszarach gmin i powiatów. Dane wykażą terytorialne różnice wszystkich czynników demograficznych i strukturę wieku ludności — niewątpliwie różną w województwie kieleckim i Olsztyńskim, w Szczecinie i w Warszawie. Ponadto dadzą możność zorientowania się, które kategorie obywateli — ugrupowania pewnego wieku, pracownicy specjalnych zawodów, czy mieszkańcy określonych okolic — mają największy spółczynnik zgonów, wymagają szczególnej opieki i specjalnej poprawy bytu.

Dokładny spis ludności — to prawdziwy obraz naszej rzeczywistości demograficznej, to nieodzowny materiał do wykonania planu gospodarczego, do podniesienia Polski ekonomicznie, kulturalnie i zdrowotnie.

Mateusz T. Milewski

TANGENS

NA NOWEJ LINII ROZWOJU ŁUŻYC

Nie wszystkim zapewne w Polsce wiadomo, że najbliżsi nasi sąsiedzi słowiańscy zza Odry i Nysy, Łużyczanie, przeżywają obecnie niezmiernie ciekawy i doniosły okres wtórnego odrodzenia narodowego. Odrodzenie w zupełnie zmienionej rzeczywistości, która zawiera w sobie niewątpliwie sporo pierwiastków rewolucyjnych. Zawdzięczają to Łużyczanie w pierwszym rzędzie troskliwej opiece, jaką rozciągnęły nad nimi władze radizeckie w Berlinie, jako



Nowy Casnik
Dolnoserbska pśiłoga nowin „Nowa Doba“
Swety Jan jo rozow nan!

nad bratnim żywiołem słowiańskim, wciągniętym jednakże na niewielkim obszarze ziemi w większość niemiecką. Konserwatywne dotychczas i zacofane pod względem polityczno-socjalnym społeczeństwo zrozumiało rewolucyjny przewrót, jakiemu uległy Wschodnie Niemcy, czynią dziś wszystko, aby w Demokratycznej Republice znaleźć wspólny język ze swoimi niemieckimi współobywatelami.

Sukces niewątpliwy Radzieckich Władz Okupacyjnych w stosunku do Łużyc polega głównie na wprowadzeniu na odcinku Saksonii, do której przeważna część ziem łużyckich należy, **autonomii kulturalnej dla żywiołu słowiańskiego,** uznanej oficjalnie przez sejm saski na mocy uchwały z dn. 23 marca 1948 r. Równolegle z tym skupienie wokół naczelnej organizacji narodowej Łużyczan, t.zw. „Domowiny“, wszelkich elementów postępowych dało gwarancję i przeciwnej stronie, że ustawa z r. 1948-go będzie należycie zrozumiana, stosowana i wyzyskana w duchu pokojowego współżycia i współpracy obu narodowości. Toteż w odpowiedzi na uchwałę sejmu saskiego „Domowina“ odpowiedziała po roku rezolucją swego walnego zgromadzenia, że współpraca taka będzie tylko wtedy możliwa, jeśli naczelna władza narodowa Łużyczan, t.j. „Domowina“ pójdzie drogą, jaką kroczy postępowy, antyfaszystowski i miłujący pokój obóz, na którego czele stoi Z.S.R.R., jako potężny gwarant pokoju“. (Rezolucja z dn. 20.IV. 1948 r.).

Łatwo było przewidzieć, że w praktycznym zastosowaniu ustawy o autonomii kulturalnej Łużyc wyłonią się obustronne trudności i nieporozumienia na skutek zastarzałych uprzedzeń, nawyknięć i praktyk. Toteż naczelny **Urząd Serbołużycki w Budziszynie** miał w dotychczasowej swej działalności niejeden ciężki orzech do zgryzienia, przeżył niejedno rozczarowanie. Niemniej liczne fakty z życia Łużyc ostatnich trzech lat wskazują, że rozwój życia narodowego mieszkańców tej ziemi jest na najlepszej drodze, a zdobycze dotychczasowe w dziedzinie szkolnictwa i oświaty ludowej, w dziedzinie organizacji pracy i kształcenia kadr pracowników narodowych, na odcinku gospodarstwa rolnego, przemysłu i spółdzielczości świadczą wymownie o powolnym, ale stałym i konsekwentnym realizowaniu haseł i zasad „Ustawy o ochronie praw narodu łużyckiego“.

„Nowa Doba“ — organ „Domowiny“.

Jednym z najbardziej wpadających w oczy pól działania „Domowiny“ jest jej działalność prasowo-publicystyczna. Przedstawia się ona dziś, jeszcze bardzo skromnie, bo rozoporządza zaledwie jednym jedynym organem p. n. „Nowa Doba“. Wychodzi ona trzy razy tygodniowo, a zmieniona ma być wkrótce na dziennik. Wydawana przez Wydział Prasowy „Domowiny“, a redagowana żywo, barwnie i rzeczowo przez jednego z najruchliwszych pionierów demokratycznego ruchu na Łużycach, **Marcina Nowaka-Niechorńskiego, stanowi** dziś — poza prasą niemiecką — główne źródło informacji dla szerokich rzesz społeczeństwa łużyckiego, zdobywając z każdym dniem nowych czytelników spośród powracających do uświadomienia narodowego, a zagubionych dotychczas w niemczyźnie rodaków.

Trudno w krótkim artykule dać dokładny obaz tego, co dała i daje Łużyczanom od lat czterech ich skromna „Nowa Doba“, której cztery roczniki wraz z wszystkimi dodatkami leżą przed nami. Określając krótko dość oklepanym frazesem, powiedzieć możemy, że trzyma ona czujnie rękę na pulsie wszystkich najżywotniejszych spraw, dotyczących Łużyc i Niemiec, Związku Radzieckiego, Polski i Czech, jak i innych narodów, idących w kolumnie państw demokratycznych. Europą, jak i resztą świata mało albo wcale się nie zajmuje, bo na to już jej miejsca brak.

Walną część rubryk stanowią przede wszystkim wiadomości ze wszystkich części Górnych i Dolnych Łużyc, i to z najbardziej odległych i zapomnianych, w których nowe życie wykluwać się zaczyna pod działaniem promieni „Domowiny“. Pilnie się śledzi każde złe czy dobre echo sprawy łużyckiej w prasie czy społeczeństwie niemieckim Z wdzięcznością pomieszcza pismo każdy życzliwy głos o Łużyczanach, idący z Polski, Czech czy Rosji, przy czym stale informuje o zdobyczach nowej struktury państwowo-socjalnej tych narodów. Jeżeli chodzi o Polskę — o imponującym przede wszystkim rozmachu w odbudowie Warsazwy, o szybkim realizowaniu planu sześcioletniego, o modernizacji kolektywnej pracy na roli i systematycznie rosnącej rozbudowie przemysłu; o ogarniającej świat cały akcji pokojowej; o bujnym rozwoju szkolnictwa i oświaty ludowej, o ruchu młodzieżowym, o konkursach i nagrodach literackich, artystycznych, naukowych etc.

Chętnie sięga też „Nowa Doba“ do przeszłości swego narodu i swej ziemi, wydobywając z niej te nieprzemijające wartości, które stanowią dziś kapitał duchowy i moralny dla współczesnych pokoleń. Czci też pamięć zasłużonych synów ojczyzny, co w czasie wielowiekowej niewoli nie tylko walczyli o prawa swego narodu, ale i podwaliny kładli pod jego własną, rodzimą kulturę.

„Nowa Doba za dźeći“.

Organ „Domowiny“ nie zapomina też o najmłodszym pokoleniu. Wydaje więc dlań raz w miesiąc specjalny dodatek pod powyższym tytułem. Skromne to pisemko, nie przekraczając zazwyczaj ośmiu stron druku ósemki, zawiera jednak sporo ciekawej i pouczającej treści. Zazwyczaj artykuł wstępny omawia jakiś ważniejszy moment z dziejów „nowej Rosji“, jak np. podniosły obchód 30-lecia październikowej rewolucji we wszystkich szkołach ZSRR i udział w nim młodzieży i dziatwy radzieckiej. Następują przekłady łużyckie jakiejś noweli lub fragmentu z powieści jednego z narodów słowiańskich, po czym wybitna poetka - chłopka, **Maria Kubasec,** wielka przyjaciółka i wychowawczyni młodego pokolenia, dobywa ze swego bogatego repertuaru to sztuczkę dla teatru dziecinnego, to opowiadanie z dziejów dawnych Łużyc, to pełne umiłowania ziemi rodzinnej, przepojone nutą społeczną, poezje, przypominające niekiedy swym nastrojem i ideologią najpiękniejsze utwory Marii Konopnickiej. Dział literacki kończy zazwyczaj jakaś baśń czy legenda, obrazek rodzajowy lub humorystyczna przypowiastka z życia ludu. Numer zamykają oczywiście obowiązkowe „hadancka“, czyli zagadki i łamigłówki.

„Młody pioner“.

To jeszcze jeden dodatek do „Nowej Doby“. Przeznaczony dla kształcącej się młodzieży, a uczy ją od lat wczesnych sztuki pionierstwa w różnych dziedzinach życia polityczno-społecznego, kulturalnego i gospodarczego. Wzory i przykłady czerpie się z bogatej księgi doświadczenia młodzieży radzieckiej. Sprawozdania ze zjazdów organizacji młodzieżowych poszczególnych okręgów Łużyc z radością dzielą się zdobyczami pracy organiazcyjnej kół młodzieżowych, nie zamykają jednak oczu na braki i niedomagania w zespołach, karcąc surowo wszelkie zaniedbania czy opieszałość. Ciekawa jest też rubryka korespondencji samej młodzieży, bo daje na żywo uchwycony obraz różnorodnych, skomplikowanych niekiedy warunków, w jakich przychodzi młodzieży łużyckiej pracować, uczyć się, zarabiać na życie, często w przeważającym środowisku niemieckim. Jakby dla oderwania umysłów od codziennej, żmudnej pracy, dla odświeżenia myśli beztroskim tchnieniem, jakby z innej planety, redakcja pomieszcza w „Pionierze“ opowieści fantastyczne z „Tysiąca i jednej nocy“. Poeta młodzieżowy zaś, **Michał Nawka** (zdaje się jeden z tych, co studiowali u nas w Poznaniu i brali udział w odgruzowywaniu Warszawy), zdobi każdy numer pisma jakimś swoim utworem, piosenką, zagadką lub żartem, zasłyszanymi z ust ludu górno- lub dolno-łużyckiego, wśród którego młody poeta krąży niezmordowanie, budząc go do nowego życia.

„Nowy Casnik“.

Jest zjawiskiem naprawdę nowym i budzącym radosne perspektywy. Miniaturowa ta gazetka (również dodatek miesięczny do „Doby“) przeznaczona specjalnie dla **Dolnych Łużyczan** (brandernburskich) i dlatego drukowana w języku dolno-łużyckim i niemieckim. Wiadomą bowiem rzeczą, że terytorium tej słowiańskiej krainy mieści się nad środkową Sprewą, w najbliższym sąsiedztwie Berlina i słynnego z czasów przedwojennych, ulubionego celu wycieczek berlińczyków, „Spreewaldu“. Ludność tej krainy ulegała w ciągu wieków stopniowemu wynaradawianiu i jeszcze dzisiaj znaczny jej procent łatwiej się porozumiewa w języku niemieckim, niżeli w swej ojczystej mowie.

Toteż postępowe czynniki rządowe w łonie Niemieckiej Republiki Demokratycznej idą na rękę kulturalnym organizacjom łużyckim w pracy ich około podniesienia uświadomienia polityczno - społecznego tej najbardziej konserwatywnej części narodu łużyckiego. W tym celu urządzony został po raz pierwszy w stolicy Dolnych Łużyc, Chociebużu, „Tydzień łużyckiej kultury“ (od 27 sierpnia do 10 września br.), który był jakby pokazem samodzielnego dorobku kulturalnego Łużyczan na polu twórczości naukowej, literackiej i artystycznej, i to pokazem nie tylko dla Dolnych Łużyczan, ale i dla licznej rzeszy Niemców, współmieszkających z nimi w tej uroczej krainie t. zw. **„Błot“,** istnej Holandii łużyckiej rozrzuconej po łęgach i kępach wśród dwustu ramion Sprewy, niezliczonych kanałów, jezior i potoków.

„Nowy Casnik“ sumiennie informuje swych niemieckich współobywateli o tym, czym były, są i pragną być w nowej rzeczywistości Łużyce. Młody historyk literatury i poeta, **dr Frido Metsk** (Mietszk = Mieczek) w wyczerpującej rozprawie daje obraz dziejów literatury dolno-łużyckiej. Zasłużona budzicielka ducha narodowego w tej krainie, **Mina Witkojc** ogłasza tu swe poezje, tchnące ideą demokratyzmu i postępu, pod hasłem pokojowego współżycia dwu Narodów, które los związał na jednej ziemi. Niezmordowany działacz łużycki, poeta i malarz w jednej osobie, **M. Nowak Niechorński** pomieszcza obszerny artykuł o rozwoju sztuki malarskiej i organizacji Związku Artystów plastyków na Łużycach. Inny profesor, **Oto Wićaz,** wytrawny bibliograf i historyk literatury, poświęca trzy artykuły wspomnieniom jednego Dolno-łużyczanina i trzech zasłużonych Niemców, którzy w czasach największego ograniczenia swobód na Łużycach pracowali niezdormowanie na rzecz tego zamierającego, zdawało się, strzępu ludu słowiańskiego.

Pierwszy z nich, pastor **Bogumił Swjela,** życie całe poświęcił pracy nad językiem dolno-łużyckim, przez przeszło pół wieku wydając jedyny organ w tym języku „Bramborski (brandenburski) Casnik“. Trzej inni — to szlachetni i sprawiedliwi Niemcy, którzy rozmiłowawszy się w ziemi i ludzie łużyckim, naukową swą pracą, zbiorami i poezją przyczyniali się do podtrzymania ducha w narodzie i do zachowania resztek skarbów zanikającej już w niektórych stronach twórczości ludowej. **Wilibald von Schulenburg,** szczery przyjaciel ludu łużyckiego, współpracownik „Niederlausitzer Mitteilungen“, zasłużył się ogłoszeniem cennych wspomnień i zapisków o życiu ludu łużyckiego w czasie dłuższego swego pobytu na „Błotach“. Jemu to zawdzięcza dziś filologia i etnografia słowiańska wnikliwe studia i zbiory pt. Wendische Volkstum und Gebräuche aus dem Spreewald“ (Berlin, 1879) albo „Wendisches Volkstum in Sage, Brauch und Sitte“ (1882). Nie wahał się też ogłaszać swe prace w języku łużyckim, jak np. „O rybactwie na Błotach“ lub „O ojczystym ludoznawstwie“ (1903), a bogatą kolekcję (105) melodii pieśni ludowych ofiarował nie komu innemu, lecz „Macierzy Łużyckiej“ w Budziszynie.

Inny tęgi językoznawca niemiecki **dr Juro Sauerwein** (1904), co dla angielskiego Tow. Biblijnego przełożył był cały Stary Testament dla mieszkańców Madagaskaru, a Nowy Testament na język Kabylów, — tak rozmiłował się we „wspaniałym — jak powiada — archaicznym języku dolno-łużyckim“, że wielokrotnie przyjeżdżał na „Błota“ i wśród miejscowego ludu wsłuchiwał się w jego mowę, notował pieśni i melodie, robił filozoficzne zapiski, zużytkowane następnie w jego językoznawczych pracach.

Trzecim był **Kito Stempel** (1867), który wyczuwając w swym rodzie słowiańskie pochodzenie, tak się poduczył języka łużyckiego, iż składać w nim począł wiersze w duchu pieśni ludowej, a nawet skomponował cały poemat dydaktyczny na temat piękności i bogactwa łużyckiej mowy.

„Nowa Doba — Deutschsprachige Beilage“.

To jeszcze jeden dodatek publicystyczno-literacki „Nowej Doby“, przeznaczony specjalnie dla Niemców. Świadectwo zapoczątkowania idei pokojowego współżycia i współpracy Niemców z Łużyczanami w nowej, demokratycznej rze-

czywistości. Owa „Deutschsprachige Beilage" systematycznie poucza o dziejach i rozwoju kulturalnym narodu łużyckiego, o niezniszczalnych wartościach ducha tego maleńkiego plemienia, jego umiłowania pracy, sile moralnej i głębokim poczuciu etyki chrześcijańskiej; o jego pracy nad językiem i literaturą od XVI w. począwszy, mimo tylu wieków walk i prześladowań cudownie zachowaną i dzisiaj z młodzieńczym zapałem rozwijaną; wreszcie o wkładzie urodzonych Łużyczan do kultury i nauki niemieckiej w całym szeregu dziedzin, nie wyłączając spraw gospodarczych i rozbudowy kraju.

Dodatek niemiecki pomieszcza też dobre przekłady ze współczesnej poezji łużyckiej zdolnego poety **Jurija Brezana**, który z równą swobodą składa wiersze w języku niemieckim, jak i łużyckim. Cenną rubrykę w tym dodatku stanowi zwłaszcza **kronika**, w której informuje się współobywateli niemieckich o poczynaniach Łużyczan na polu zbiorowego życia polityczno-społecznego i kulturalnego. A więc szczegółowo referuje się o udziale Serbów łużyckich w budziszyńskim Kongresie pokojowym w dniu 8 sierpnia br.; o szkoleniu łużyckich referentów wyborczych, mających przygotować społeczeństwo do wielkich wyborów do parlamentu niemieckiego w październiku br.; o uaktywnieniu „Narodowego Frontu" i zwalczaniu obozu reakcjonistów; o uchwałach i interwencjach u rządu saskiego w Dreznie „Domowimy"; o akcji organizacyjnej nacz. kuratora łużyckich okręgów szkolnych; o działalności politycznej i społecznej akademickiego związku studentów łuż. w Lipsku pn. „S o r a b i a"; o trzeciej dorocznej wystawie sztuki łużyckiej w Muzeum Miejskim w Budziszynie; o zjeździe naukowo - wytwórczym nauczycielstwa łużyckiego; o dorobku pierwszego pięciolecia młodej sceny łużyckiej; o tzw. brygadach kulturalnych, działających w najbardziej zapadłych kątach Łużyc; o akcji szkolnej w osiedlach leśnych i górskich; o najnowszym słowniku niemiecko-górno-łużyckim A. M i t a s a (na 10,000 słów), wydanym przez Komisję Pedagogiczną. Naucz. Łuż. w Budziszynie i w. in.

Tangens

O ENCYKLICE „HUMANI GENERIS"

(dokończenie ze str. 5)

zmiennych, które dają świadectwo prawdzie w pewnej mierze, ale muszą jednocześnie deformować", — tak że teologia powinaby co pewien czas zmieniać sposób przedstawiania dogmatu zastępując dawne pojęcia innymi, nawet przeciwstawnymi, lecz bardziej zgodnymi z aktualnie panującą filozofią, — tak jakby nie było pewnych podstawowych założeń niezmiennych u podstaw każdej zdrowej filozofii. W tej samej dziedzinie Papież zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, które kryje się w pewnym sposobie tworzenia historii dogmatów lub historii teologii: zatrzymując się wyłącznie na specyficznych cechach zabarwiających formę chrystianizmu w każdej konkretnej epoce, dochodzi się do zagubienia wspólnego podłoża, które jest zasadniczą treścią.

Drugi błąd podkreślony przez Papieża polega na tym, że pod pozorem uwalniania dogmatu od wszystkich elementów uznanych za „zewnętrzne w stosunku do Objawienia" — zapomina się o wynikach tzw. „teologii spekulatywnej". Lekceważenie dzieła rozumowych przemyśleń w nauce Kościoła prowadzi nawet do chęci odrzucenia tego sformułowania dogmatów, które stało się tradycyjne od wieków średnich lub od Soboru Trydenckiego. Niektórzy pragnęli ograniczyć się do wykładania wiary katolickiej w terminologii Pisma Świętego lub Ojców Kościoła. Zapomnieli oni, że Kościół oświecony przez Ducha Św. zdobywa w ciągu wieków coraz głębszą świadomość całkowitej zawartości Objawienia, — że dzięki badaniom teologów i rozmyślaniom świętych zostały wyjaśnione sprawy, które przedtem były tylko domyślne, a także, że wobec niebezpieczeństwa herezji dodawano określenia i dystynkcje, których konieczności nie odczuwano w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Stąd dla teologa jest rzeczą ogromnej wagi, by jak najwięcej korzystać ze wskazań kościelnego Urzędu Nauczycielskiego, wyrażanych nie tylko przez nieomylne decyzje dogmatyczne, ale także przez ciągłe pouczanie, którego jedną z form są Encykliki. Jedynie pod przewodnictwem Kościoła Nauczającego możemy czytać Biblię z przekonaniem, że nie będziemy błądzić w naszych interpretacjach.

To przypomnienie ważności władzy nauczycielskiej Kościoła, o której w obecnym chwalebnym entuzjazmie dla Biblii i Ojców Kościoła nie wolno nigdy zapominać, — nie znaczy bynajmniej, że Papież odrzuca to, co jest płodne w tendencji nawracania ku źródłom, bowiem „zawierają one skarby prawdy tak liczne i tak wielkie, że nie wyczerpie się ich nigdy; — oto dlaczego przez studia nad źródłami teologia ciągle się odmładza, podczas gdy — jak nas uczy doświadczenie — spekulacja zaniedbująca kontakt ze skarbem Objawienia, staje się jałowa".

Powrót do źródeł i ruch biblijny — nadały szczególną aktualność zagadnieniom egzegetyki. Pius XII już poprzednio dał nam w tej dziedzinie wyjątkowo precyzyjne wskazania, w których wszyscy podziwiają wszechstronność spojrzenia. Gdy zaś ostatnio pewni lekkomyślni egzegeci przekroczyli w niektórych miejscach granice poprawnego wykładu Pisma Św., Papież pragnie wskazać im właściwą drogę. Niemniej jest zupełnie oczywiste, że obecne nauki Piusa XII nie są w żadnym wypadku sprzeczne z jego wskazaniami poprzednimi; z tej perspektywy należy rozumieć Jego przestrogi. Odnoszą się one przede wszystkim do trzech dziedzin: 1) sposobu rozumienia ustalonego poglądu, że w Biblii nie ma żadnego błędu; 2) tzw. „duchowej" interpretacji Biblii (w przeciwstawieniu do egzegezy dosłownej), która we Włoszech doprowadziła do pewnych błędów, a nawet obracała się w fantazjowanie, ale której nie należy mylić z egzegezą typologiczną stosowaną od Św. Pawła i Ojców Kościoła do — O. Danielou i badającą związki między Nowym i Starym Testamentem, zwłaszcza prefiguracje Chrystusa w tym ostatnim; 3) wreszcie — interpretacji pierwszych rozdziałów Genezy, a szczególnie relacji o Stworzeniu i grzechu pierworodnym.

Ten ostatni punkt każe Papieżowi zabrać głos w sprawie bardzo dziś aktualnej; chodzi o teorię ewolucji. Tak jak stwierdziliśmy na początku, Encyklika ostrzega przed skrajnym pojmowaniem ewolucji. Ale bynajmniej nie odnosi się ona wrogo do bardziej umiarkowanych koncepcji ewolucjonistycznych. Papież stwierdza, że katolicy mogą swobodnie dyskutować (w oparciu o aktualny stan nauk przyrodniczych i teologicznych) problem słuszności teorii ewolucjonizmu, o ile dotyczy ona pochodzenia ciała ludzkiego z istniejącej i ożywionej materii. „Przy tym — przypomina Papież — zgodnie z wiarą katolicką należy podtrzymywać zasadę, że dusze są stwarzane bezpośrednio przez Boga. Rozważać zaś trzeba w taki sposób, by racje, które popierają lub zwalczają jedną czy drugą opinię, były rozpatrywane i osądzane z konieczną powagą, powściągliwością i umiarem — i zawsze z warunkiem gotowości podporządkowania się sądowi Kościoła, któremu Chrystus powierzył urząd autentycznego tłumacza Pisma Św. i obrońcy dogmatów wiary".

Oto po raz pierwszy dokument wychodzący od najwyższego Autorytetu Kościoła oficjalnie zatwierdza tezę, która w teologii stała się powoli klasyczna, że ewolucjonizm może być w pewnych granicach zupełnie zgodny z nauką chrześcijańską. Najwyższy Pasterz uważa, że należy uczynić dwa zastrzeżenia: najpierw przypomina, że przy obecnym stanie badań naukowych — w opisie pochodzenia ciała ludzkiego z materii już istniejącej i żywej, pozostaje jeszcze ciągle moment hipotezy; następnie — i przede wszystkim — wypowiada się w sprawie hipotezy poligenistycznej.

Ojciec Bonné pisał ciekawie o problemie poligenizmu, kończąc w ten sposób: „Nauka dzisiejsza prowadzi do hipotezy monogenistycznej, rozumianej w ten sposób, że jeden „praojciec" zwierzęcy miał dać początek naszej ludzkości. Ale czy ten początek polegał na ukazaniu się jednej osoby, jednej pary, czy też odrazu pojawiła się większa ilość jednostek? Co mówi w tej dziedzinie nauka? — Naprawdę — bardzo niewiele. To zagadnienie nie odzywa się ani w paleontologii, ani w antropologii, tak by można było znaleźć dowody wykopaliskowe zdolne je wyjaśnić". Tak więc z punktu widzenia nauk przyrodniczych nie ma rozwiązania dla tego problemu. Licząc się ze wskazówkami Biblii i tradycyjną koncepcją grzechu pierworodnego, Papież — nie wypowiadając się w sposób absolutny, tak, jak to czyni definiując prawdy wiary, — wysuwa następującą zasadę, która aż do następnego rozstrzygnięcia obowiązuje katolików:

„Wierni nie powinni przyjmować doktryny, której zwolennicy twierdzą, że byli po Adamie prawdziwi ludzie nie wywodzący się od niego w sposób naturalny, jako od ojca wszystkich ludzi, albo że Adam oznacza grupę licznych pierwszych ojców".

Encyklika „Humani Generis" powstała niewątpliwie pod znakiem roztropności. Jeżeli Najwyższy Kapłan osądził, że należy — obok zachęty do solidnej pracy naukowej — dać również ostrzeżenia i rady roztropności, to uczynił to dlatego, że Kościół jest przede wszystkim przewodnikiem zbawienia, Matką zawsze troszczącą się o wiarę swoich dzieci. Otóż Kościół zna z doświadczenia zło, które umysłom nie mającym koniecznego umiaru może wyrządzić niedostatecznie dojrzała hipoteza.

Intelektualiści katoliccy, zwłaszcza francuscy, powinni posiąść dostateczną pokorę, by przyjąć te macierzyńskie napomnienia i skorzystać z okazji, by zastanowić się z całym obiektywizmem, czy w jakiejś mierze nie pominęli pewnych niezmiennych wymagań nauki Tego, który powiedział: „Jam jest Drogą, Prawdą i Życiem".

Roger Aubert

List dwudziesty szósty

dokończenie ze str. 3

człowiek odchodzący powinien zostać w naszych oczach, i taka — jakim chcielibyśmy go zobaczyć znowu...

Pełgający blask kaganka kładł cienie na Jej twarz i ręce. Nagle powiedziała:

— Moje dzieci, choć mnie nie będzie, nie odejdę od was...

Podnieśliśmy głowy. Poczułem jak mi serce uderzyło mocniej. To Rut tak podobnie powiedziała — na chwilę, zanim zastygła z wyrazem żałosnego płaczu na umęczonych ustach...

— Nie bójcie się — ciągnęła spokojnie. — Nie będę od was dalej, będę coraz bliżej. Każdego dnia, każdej godziny wchodzić będę bardziej w wasze życie... Pozostanę tym, kim byłam...

Nie rozumieliśmy Jej słów, ale wydało się nam wszystkim trzem, że Ona mówi coś niezmiernie ważnego, coś, co pozostanie niezrozumiane przez lata, może przez setki lat, by potem nagle zapalić się jak wybuch słońca lub spaść jak deszcz kwiatów. Siedzieliśmy z oczami utkwionymi w Nią. Róże sarońskie za oknem przestały pachnąć. Zrobiła się wielka cisza, w której każdy dźwięk wybucha piorunem, cisza, jak wtedy, gdy niewidzialny Ptak miał między nas wlecieć. Czekaliśmy pełni napięcia, sami nie wiedząc na co czekamy. Ona podjęła znowu tym samym cichym, brzmiącym jak daleka melodia głosem:

— Urodziłam czekającym Nadzieję, urodzę wam znowu Miłosierdzie... Podtrzymam rękę, która nad wami zawiśnie... Możecie oczekiwać ode mnie wszystkiego... I możecie prosić o wszystko... Jestem niby drabina, którą patriarcha Jakub widział we śnie, z aniołami, spływającymi w dół i wzlatującymi w górę...

Jeszcze Jej głos, pełen dobroci, wisiał w powietrzu, gdy nagle dokonała się rzecz niepojęta, migotliwa niby sen. Nigdy nie będziemy wiedzieli jak się to stało... To był moment, krótki jak drgnięcie powieki. Nagle Ona, Jej twarz, Jej postać — stały się Nim! Na drgającej koronce blasków i cieni pojawił się On i zasłonił Ją sobą. Widzieliśmy Go siedzącego na ławie, na tej samej ławie, znad której się uniósłszy, łamał chleb i zamieniał go w Siebie. Jego dłonie spoczywały na kolanach, białe i przebite... I znowu na półmrok wiosennej nocy spadła powieka, a gdy odskoczyła — nie było już ani Jego ani Jej. Zerwaliśmy się na nogi. Ptaki wybuchnęły śpiewem, że można by sądzić, iż milczały przez tę chwilę odchodzenia. Woń róż rozchodziła się znowu nakół, tylko mocniejsza, jakby kwiaty wyrastały tu obok, na podłodze. Ona zniknęła, choć dopiero co była jeszcze żywym człowiekiem. Jej słowa wciąż żyły, ale już roztapiały się w ciszy. Słowa tych, którzy tam poszli, i już tylko są treścią, a coraz mniej tonem, dźwiękiem, wyrazem... Na ławie leżał płaszcz, Jej płaszcz, zda się simlah Eliasza upuszczona z ognistego wozu. Pochyliliśmy się nad nim z czcią. To z niego płynęła woń róż. Pęk białych główek, zaledwie rozchylonych, posypał się na ziemię.

— Gdzie jest Ona? — zapytałem oszołomiony, niepewny własnego głosu, który zdawał się brzmieć, jak zgrzyt.

Jan odpowiedział:

— Nie wiesz? On Ją zabrał...

Nagle przypomniało mi się, co ludzie mówili o Janie i o obietnicy jaką dostał.

— Czy On i po ciebie tak przyjdzie? — zapytałem.

Potrząsnął głową.

— Tyle razy wam powtarzałem: On nie powiedział nigdy, że nie umrę. Ale wtedy, słyszałem Jego serce... Dał je... To Ona stała się Jego sercem... I dlatego nie mogła umrzeć...

Więc nie umarła, Justusie. Odeszła... I teraz wiem: każdego dnia Jej słowa brzmieć będą głośniej. Nie będzie nas przykuwała Swoją obecnością do Jerozolimy. Wszyscy już teraz możemy iść w świat, jak ziarnka maku, które wiatr wydarł z pękniętej makówki. Jan i inni... Nie ma już teraz miejsca, w które moglibyśmy wrosnąć. Nie jesteśmy krzewami ale wiecznym skrzydlatym nasieniem. Nie jesteśmy krzewami — możemy być tylko drzewem. Jak to On powiedział...

Dlatego odchodzę. Żegnaj, Justusie. Chciałbym, aby ta historia, którą wyczytałeś z moich listów, przemówiła do ciebie głośniej i dobitniej niż księgi greckie i dzieje Izraela. Drogi mój nauczycielu, to przecież tobie zawdzięczam umiejętność spoglądania w głąb każdej sprawy, nawet najboleśniejszej. Ty nauczyłeś mnie, że nie tylko rozum i dociekliwa myśl prowadzą do odkrycia Prawdy i nie tylko w blasku oczywistości odnajduje się ją. Ja ją znalazłem w bólu... On wielu ludzi wołał do Siebie, robiąc im wszystko to, o co Go prosili. Mnie wezwał — odmawiając mi zdrowia i życia Rut... A przecież właśnie przez to zrozumiałem, że mnie kocha...

Nowe groźby wiszą w powietrzu. Agryppa, jak mówią, ulegając Sanhedrynowi, chce rzucić między nas postrach. Być może znowu ktoś, jak wtedy Szczepan, postrada życie. Lepiej więc, że się rozpraszamy. Kto się rozprasza, słabnie. Ale my korzystamy z innych praw... W bajkach arabskich uciekający rzuca za siebie rozwinięty turban, on zaś zamienia się w przeszkodę dla goniących. My, uciekając, zostawiamy za sobą Damaszek — jak pułapkę...

Niech pokój będzie z tobą, Justusie, pokój, który On dał i zostawił. Obyś go zrozumiał! Będę się o to modlił. Do Niego — przez Nią...

Jan Dobraczyński

A. J. CRONIN

DLACZEGO WIERZĘ

Ogólnie biorąc studenci medycyny nie mają dla wielu rzeczy dostatecznego szacunku. Kiedy sam studiowałem na uniwersytecie w Glasgow, nie różniłem się pod tym względem od innych. Robiliśmy sekcje ciał zmarłych, uważając je tylko za pewien skomplikowany mechanizm. Nigdy oględziny zwłok nie wykazały czegoś, co można by uważać za oznakę duszy nieśmiertelnej. Jeżeli myślałem o Bogu, to tylko z uśmiechem wyższości, jaką odczuwa biolog w stosunku do dawno przebrzmiałego mitu. Później, gdy uzyskałem dyplom, zetknąłem się z zupełnie innymi pojęciami pracując w miasteczku górniczym w Walii. Zawód mój umożliwił mi bezpośredni kontakt z życiem: mogłem obserwować, jak ludzie przebijali się przez nie napotykając ogromne trudności.

W tym czasie po raz pierwszy miałem możność wejść w kontakt z dziedziną ducha. Kiedy współdziałałem w cudzie narodzin, kiedy czuwałem w czasie spokojnych godzin nocy przy umierających słysząc uderzenia niedostrzegalnych i nieubłaganych skrzydeł śmierci, moje przekonania powoli ulegały zmianie. W zetknięciu z życiem odkrywałem nowe wartości. Zacząłem rozumieć, że horyzonty życia są szersze, niż pouczały mnie o tym książki i dalej sięgające, niż mogłem to kiedykolwiek przypuszczać. Krótko mówiąc, przestałem wierzyć w ową wyższość, o której poprzednio wspomniałem. Nie wiedząc o tym, uczyniłem pierwszy krok na drodze prowadzącej do Boga.

Moje miasteczko walijskie było gorąco wierzące, wiarą, która przenika wszystkie sprawy życia. Rzadko upłynął tydzień bez oczywistego świadectwa stwierdzającego ich głęboką ufność w Boga.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy wybuch pogrzebał w kopalni czternastu górników. Przez pięć dni pozostawali oni pod ziemią; ekipy ratownicze nie ustawały w pracy, a miasteczko czekało i modliło się. Gdy ratujący zbliżyli się wreszcie do zasypanych, z głębi zawalonego pokładu odezwały się dźwięki hymnu, którym żywcem pogrzebani krzepili swoją odwagę. Gdy wyczerpanych, lecz żywych wydobyto na powierzchnię, tłum zgromadzony koło szybu zaintonował psalm, który śpiewany przez tysiące głosów rozbrzmiewał radośnie po szerokiej dolinie. W chwili gdy w towarzystwie ocalonych wychodziłem z kopalni oślepiony światłem, które rozbłysło gwałtownie po ciemnościach szybu — pełna treści siła tego śpiewu porwała mnie jak przypływ morza. Trudno było by opisać wrażenie, jakie widok tych ludzi sprawiał.

W rok później opuściłem moją dolinę, wyjeżdżając do zaniedbanego miasteczka, bez szpitala, bez odpowiednich urządzeń sanitarnych — w hrabstwie Monmouth. Większą część mojej pracy dzieliłem z pielęgniarką okręgową. Była to kobieta lat około pięćdziesięciu, tęga, z twarzą pokrytą zmarszczkami. Nie była ładna, ale miała tyle szczerości w spojrzeniu przejrzystych szarych oczu, że rysy jej całkiem pospolite były tą szczerością do głębi prześwietlone.

Podczas prawie dwudziestu lat sama pielęgnowała chorych swego okręgu. Zadanie jej było ogromnie ciężkie; każdego dnia musiała objechać cały swój rejon, nie mówiąc już o wezwaniach po nocy. Często podziwiałem jej odwagę i cierpliwość, surowość i wesołość. Główną cechą jej charakteru było całkowite wyrzeczenie się siebie. Nigdy nie była tak zajęta, by nie wyrzec słowa pociechy, ani tak zmęczona, by nie udać się w nocy do nagłego wypadku.

Naturalnie wynagrodzenie jej było jedno z najniższych. Pewnego wieczoru, gdy po pracy szczególnie wyczerpującej piliśmy razem herbatę, odważyłem się poruszyć tę sprawę:

— Dlaczego nie żąda pani podwyżki? — zapytałem. Powinna pani zarabiać przynajmniej funta więcej tygodniowo. Bóg sam wie, że pani na to zasługuje!

Zapadło milczenie. Uśmiechała się ciągle, ale spojrzenie jej stało się poważne i tak pełne siły, że uczułem się wstrząśnięty:

— Doktorze — rzekła — jeżeli Bóg wie, że na to zasługuję, czegóż więcej potrzeba? Dla mnie tylko to jest ważne.

Zrozumiałem, że jej praca i oddanie się, życie całe jest poświęceniem i potwierdzeniem jej wiary w Boga. Nagle wszystko stało mi się jasne i mogłem odczuć bogactwo jej życia i pustkę mojej egzystencji.

Katastrofa w kopalni i przypadkowa uwaga prostej pielęgniarki wyniosły mnie ze sceptycyzmu — na trwały grunt wiary.

Mówię tak prosto o wierze w Boga — o sprawie, która w obecnych czasach zasługuje na specjalną uwagę. Część ludzkości odrzuca religię, a my stanowiący drugą część, pomimo głodu duchowego, który drąży nasze serca, pozostajemy w większości obojętni wobec Boga i tego, co jest sensem życia.

Istnienia Boga nie można dowieść jak równania matematycznego. Ale rozważając świat fizyczny, jego tajemnice i cuda, jego celowość, złożoność i ogrom, pojęcie Stwórcy nasuwa się samo przez się. Któż podziwiając w spokojną noc letnią gwiazdy błyszczące w nieskończoności, może przypuszczać, że wszechświat mógł powstać na skutek ślepego przypadku? A nasza planeta krążąca w przestworzach według określonego rytmu — czyż nie jest czymś więcej niż przypadkowym ułamkiem materii oderwanym od słońca?

Można odrzucić, jeżeli chcecie, obraz biblijny Boga lepiącego świat własnymi rękoma w ciągu sześciu dni. Można przyjąć zasady ewolucjonizmu z jego wykopaliskami, gatunkami pierwotnymi i naukową doktryną naturalnych przyczyn. Ale w końcu zawsze znajdziemy się w obliczu nieprzeniknionej tajemnicy. Żadna rzecz nie może powstać z niczego.

Kilka lat temu w Londynie zaprosiłem znanego zoologa na zebranie zorganizowanego przeze mnie klubu młodzieży. Zebranie udało się świetnie mimo, że zupełnie nie odpowiadało temu, czego oczekiwałem. Mój przyjaciel wziął jako temat problem początków życia na ziemi. Będąc zdecydowanym ateistą wyjaśniał, jak przed tysiącami lat działanie mórz prehistorycznych wytworzyło na miękkiej jeszcze skorupie ziemskiej — jako skutek procesów fizykochemicznych — piankę, z której następnie powstała pierwsza forma życiowa: komórka protoplazmatyczna. Wykład został nagrodzony grzecznymi oklaskami. Nieoczekiwanie jednak młody chłopak o miernej inteligencji podniósł się dość gwałtownie i zapytał, jąkając się lekko:

— Proszę mi wybaczyć, pan wyjaśnił w jaki sposób wielkie fale uderzały w brzegi lądów, ale właściwie skąd w ogóle wzięła się woda?

Nastał moment kłopotliwej ciszy. Prelegent zmieszał się. Proste słowa zburzyły rozumowanie logiczne wypracowane przez teoretyka.

Prawda zawiera się w tym, że wyniki poszukiwań uczonych nie upoważniają nas do zaprzeczenia istnieniu Boga. Przeciwnie, dochodzi się do wniosku, że w procesie tworzenia się świata, w jego przeznaczeniu, prawach natury, — działała, działa i działać będzie zawsze najwyższa Inteligencja.

Jednak dla wielu osób pozytywnie nastrojonych, triumf zła i nieszczęścia dotykające ludzkość stanowią absolutną przeszkodę w uznaniu Boga.

Jak można wierzyć w Istotę Boską, jeżeli świat poddany jest tylu nieszczęściom i klęskom — głodu, trzęsienia ziemi, epidemiom i śmierci w najróżnorodniejszej formie? Bóg jest chyba godnym pożałowania artystą, jeżeli mógł stworzyć coś tak mało boskiego!

Niestety, w epoce, w której żyjemy, goniąc za rozrywkami, pociągani nienasyconymi pożądaniami, zapominamy, że przyjemność sama w sobie nie może być alfą i omegą naszej egzystencji. Jeżeli przyjmujemy istnienie Boga i naszą własną nieśmiertelność, rozumiemy, że nasze życie, w swoim sensie najbardziej głębokim, nie jest dążeniem do osiągnięcia maksimum przyjemności, ale okresem próby, zresztą bardzo krótkim, chwilą w stosunku do wieczności, chwilą, którą musimy przetrwać w pełnej równowadze. Naszym przeznaczeniem jest cierpieć i im bardziej staramy się tego uniknąć, tym bardziej cierpimy. Tomasz à Kempis, jeden z najmędrszych i najpokorniejszych ludzi pisał: „Dopóki przykro ci jest cierpieć i przed cierpieniem uciekasz, dopóty źle z tobą się dzieje i wszędzie troska za tobą pogoni“.

Odwrotnie, przyjmując troski i cierpienia, pijąc do dna kielich goryczy, wychodzimy zwycięsko z tej próby przez poddanie się i przyjęcie woli Bożej. Tak uczynił Hiob, gdy wołał pełen wzniosłej wiary: „Niech stanie się to, co Bóg chce... Choćby mnie zabił, pozostanę Mu wierny“. — A następnie zachwycony widzeniem mówił: „Moje uszy słyszały o Tobie, a oto teraz widzą Cię moje oczy!“

Te „oczy które widzą“, to powódź światła wewnętrznego, które wyłącznie pozwala nam poznać Boga. Nasza uboga myśl podążająca krokiem mrówki nie jest zdolna zaczerpnąć z oceanu nieskończoności. Objawienie się Boga może nastąpić tylko w sercu.

W czasie niedawnej podróży do Włoch, w pewne wspaniałe popołudnie we Florencji, udałem się do sławnego klasztoru położonego na wzgórzach koło Fiesole. Miałem tam możność obejrzenia manuskryptów ze wspaniałymi inicjałami, prawdziwych dzieł sztuki, poświęconych chwale Pana. Ale dopiero później, zwiedzając ten mały klasztor odkryłem największy jego skarb. Wszcząłem rozmowę z zakonnikiem, małym staruszkiem pochylonym przez pracę i wiek, o nader żywym spojrzeniu. Ponad trzydzieści lat pielęgnował skrawek ziemi, a praca jego była niekończącą się modlitwą. W odpowiedzi na pytania, które mu zadawałem, wskazywał ręką na sad, przedmiot jego starań i uśmiechając się powiedział:

— Widziałem moje czereśnie puszczające pąki, kwitnące i wydające owoce, — więc muszę wierzyć w Boga.

Jeżeli będziemy mogli uzyskać choć setną część takiej wiary, czyniąc ze siebie dar równie zupełny, — wówczas na pewno znajdziemy się na drodze wiodącej do Boga. Pierwszym etapem jest wyrzeczenie się swego „ja“: jestem niczym i nie wiem nic. Im dalej pójdziemy tą drogą, tym bardziej będzie wzrastać nasza ufność, aż w końcu zrodzi się w nas głębokie przekonanie. W chwili kontemplacji, nawet jeżeli nie widzimy dość jasno, pierwszy blask ostatecznej wizji odkrywa nam rzecz przerażającą: jałowość naszego życia, którego ona nie oświeca.

Gdy pracowałem jeszcze jako lekarz, poznałem chorego, osobistość znaną w północnej Anglii, który całe życie pysznił się swoim ateizmem. Zerwał ze swoją jedyną córką, wydziedziczył ją, ponieważ poślubiła człowieka głęboko wierzącego. U schyłku życia, choroba sprawiła taki przewrót w myślach starego sceptyka, że za wszelką cenę pragnął usprawiedliwić się w jakiś sposób przed swym zięciem. Od czasu do czasu odwiedzał go, zawsze zaczynając rozmowę słowami:

— Niech pan nie ma złudzeń. Ja nie żałuję. Nadal nie wierzę w Boga.

Jednego dnia córce jego przyszła genialna myśl do głowy.

— Ależ, ojcze — odpowiedziała — On wierzy w ciebie.

I wystarczyła ta prosta uwaga, by zwalczyć ostatni opór starca. W rzeczywistości, myśl w niej zawarta może dopomóc każdemu z nas. Cokolwiek myślimy, lub czynimy, nie przestajemy być dziećmi Boga. Wystarczy jeden akt wiary, by Go odnaleźć.

W przeszłości wielu ludzi wzorowało swe życie na życiu Jezusa i dało wspaniały przykład prawdziwej cnoty. Bóg dodawał odwagi słabym, siły — zmęczonym, nadziei — wątpiącym. On jest wszędzie, ponad nami i wokół nas, na niebie i ziemi. On jest w każdym z nas, o ile będziemy chcieli Go szukać.

tł. *M. D.*

Franciszek VILLON — *tłum. T. BOY-ŻELEŃSKI*

BALLADA JAKĄ VILLON NAPISAŁ NA PROSBĘ SWEJ MATKI, ABY UBŁAGAĆ ŁASKI NAJŚWIĘTSZEJ PANNY

Królowo niebios, cysarzowo ziemi,
Pani monarsza czeluści piekielnych,
Przyim mnie, pokorną między pokornemi.
Niech pośród sług Twych siądę nieśmiertelnych,
Mimo, iż barzo niegodna Twey łaski.
Dobroć twa, Pani nadziemskiey pociechy,
Więtsza o wiele niźli moje grzechy;
Bez Niey, daremnie duszy się wydzierać
Tam, kędy świecą wiekuiste blaski.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

Twemu Synowi powiedz, że w nim żyię;
Iżby me grzechy wymazał do tyla,
Iako Egipską rozgrzeszył Maryię,
Lub iak wybawił mędrca Teofila,
Który przez Ciebie spełnił święte dzieła,
Mimo iż diabłu zaprzedał swą wolę,
Strzeż mnie, bych w taką nie popadła dolę,
Dziewico, któraś, nie racząc otwierać
Żywota, owoc bez zmazy poczęła.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

Prostaczka iestem stara y uboga,
Nic nie znam — liter czytać nie znam zgoła —
Oprócz parafii mey niskiego proga,
Gdzie ray oglądam y harfy dokoła,
Y piekło, w którem potępieńców prażą.
Iedno mnie trwoży, drugie zaś raduje;
O day, Bogini, niech wciąż radość czuię!
Ku tobie duszy day grzeszney pozierać,
Z ufnością w sercu y rzetelną twarzą.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

Przesłanie

W twoim żywocie, o można Bogini,
Iezus, rzuciwszy precz niebiańskie kraie,
Począł się; dla nas oto cud ten czyni,
Opuszcza niebo y spieszy nas wspierać;
Na śmierć swą krasę młodzieńczą oddaje,
On naszym Panem, y iego wyznaję.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

KSIĄŻKI
KSIĄŻKI KSIĄŻKI

DWA ŻYWOTY

W niewielkim formacie, w starannym i estetycznym opracowaniu graficznym ukazują się od dwóch lat „Żywoty Znakomitych Polaków". Jest to seria życiorysów wydawanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Do tej pory znalazły się na półkach księgarskich monografie J. Sułkowskiego, S. Konarskiego, H. Kamieńskiego, ks. Ściegiennego, F. Chopina i T. T. Jeża. Wybór postaci związany jest z datami historycznymi i przypadającymi rocznicami (np. 150 rocznica śmierci Sułkowskiego — 22 X.1948 r.; rok 1949 — rok poświęcony Chopinowi), a przede wszystkim podyktowany potrzebą przybliżenia nam dzisiaj tych ludzi.

PIW wydając „Żywoty Znakomitych Polaków" ma na celu nie tylko przypomnienie, ale i upowszechnienie znajomości wybranych sylwetek; stąd popularny charakter monografii możliwie zwięzłych, uwydatniających najistotniejsze zagadnienia podjętych tematów.

Spośród wydanych dotąd opracowań, zacytowanych powyżej, zwrócimy przykładowo uwagę na dwa: Józefa Sułkowskiego i Szymona Konarskiego [1]). Nazwiska nieobce każdemu, kto chociażby pobieżnie zna historię Polski. Nieobce, lecz może za mało znane, jak Szymona Konarskiego, lub zbyt jednostronnie, jak Józefa Sułkowskiego.

Przy wielu cechach różniących łączy tych dwóch ludzi przeszłości jeden rys wspólny: absolutne, bezinteresowne oddanie się idei. Uwzględniając epokę i środowisko, z jakiego pochodził, szczególnie wiele to znaczy w ocenie Sułkowskiego.

Utrwalił się powszechnie wizerunek osobowy Sułkowskiego jako wyjątkowo zdolnego oficera, uparcie pomijanego w odznaczeniach, dla którego jedynym godnym awansem w armii Republiki Francuskiej było stanowisko naczelnego wodza. Nie byle kto to orzekł, bo sam Napoleon Bonaparte. Każdy o tym wie i każdy zna Sułkowskiego takim właśnie. Nie jest to nieprawdziwy portret, lecz żeby był wykończony i nabrał większej wartości, trzeba coś dodać; mianowicie z jakiego podłoża wyrosły jego ambicje, jaki posiadają charakter i do jakiego celu miały prowadzić? Pod tym kątem widzenia i w takim ujęciu chce przybliżyć „polskiego jakobina" współczesnemu społeczeństwu K. Koźmiński.

Bardzo wcześnie i szybko uniezależnił się Sułkowski i wyrósł ponad atmosferę rydzyńskiego dworu księcia Augusta Sułkowskiego, gdzie z łaski stryja spędził najmłodsze lata ucząc się tyle, ile tylko dziecięcy umysł wchłonąć zdoła. Bardzo wcześnie zdecydował, że „kariera", do jakiej sposobił go stryj - opiekun, ustosunkowany dyplomata, cieszący się względami dworu carowej, nie może być jego drogą życiową, bo bardzo wcześnie zdał sobie sprawę z jej bezwartościowości, więcej — podłości; bardzo wcześnie zrozumiał sytuację polityczną w swojej ojczyźnie i w całej Europie. Zrozumiał, gdzie powinno być jego miejsce w służbie społeczeństwu, z którego wyrósł. Ujrzał, że straszliwa niesprawiedliwość jest powodem ruiny tego społeczeństwa i, że jedynie całkowite i rzeczywiste przyznanie praw obywatelskich wszystkim jego członkom może je uratować. Stąd kościuszkowska idea oswobodzenia ojczyzny z niewoli przez wyzwolony z zależności i poddaństwa lud stała się dla niego naczelna. Realizacja sprawiedliwości społecznej. Najbardziej dojrzała idea i najbardziej paląca potrzeba. Sułkowski wiedział, że nie doprowadzą do tego żadne półśrodki. Że szerokie masy ludowe same muszą poczuć potrzebę wyswobodzenia i same go dokonać. Żołnierska natura Sułkowskiego widziała jedno zadanie dla siebie — poprowadzić ten lud. Na to trzeba umieć zwyciężać. Stąd emigracja, ciężka służba, pełna zwątpień i wahań w obcej armii, by posiąść wielką sztukę zwycięstwa. Nie dla sławy chyba ani zaszczytów, gdyż te łatwiej można było zdobyć innymi sposobami. Lecz dlatego, by spełnić zadanie, którego słuszność nie ulegała wątpliwości.

Bezowocność doraźna najbardziej bezinteresownych wysiłków kładzie tragiczne piętno na tej postaci do dzisiaj jednak żywej. Nie mogą bowiem stracić aktualności i znaczenia takie cechy jak poczucie sprawiedliwości, wrażliwość na krzywdę, bezinteresowność w służbie wielkiej idei a nade wszystko konsekwentne utrzymanie własnej postawy społeczno - moralnej.

Nie dane było Sułkowskiemu stanąć na czele szerokich mas w walce o ich wolność i godność. Zginął pod Kairem. Można jednak wątpić, czy mógłby to uczynić, gdyby nie zginął i wrócił do ojczyzny Dzisiaj z odległości wielu lat doświadczeń możemy dojrzeć jak mało realne były środki wybrane przez Sułkowskiego. Jak słabo uwzględniali współcześni mu rzecznicy sprawy ludowej konkretne możliwości jej rozwoju w Polsce na końcu XVIII i początku XIX wieku. Czy ten lud, który chciał poprowadzić Sułkowski, zrozumiałby już wtedy swoją i jego rolę. Doświadczenia lat następnych okazały, że jeszcze wiele pracy i wysiłku trzeba było włożyć w organizowanie ruchu ludowego utrudnione przez sytuację polityczną Polski, jak również opory wewnętrzne w społeczeństwie I niejednokrotnie, zdawało by się, na marne. Pozornie. Bo każda klęska nawet i niepowodzenie były krokiem naprzód. Dziesiątki bojowników wolności ginęły z tą wiarą. Dziesiątki Sułkowskich, Pułaskich, Konarskich.

Szymon Konarski był jednym z nich. Nie tylko różnica wieku istniała między nim, a omówionym właśnie Sułkowskim, z którym łączyła go ta sama idea naczelna. Konarski wyrastał i działał w epoce romantyzmu. Inne miał pojęcia o metodach pracy i walki. Niedługie systematyczne przygotowanie jednostki jest istotne, lecz nieustanny czyn i zaufanie do własnych sił.

Jako uczestnik powstania listopadowego znalazł się na emigracji. W wirze krzyżujących się idei wolnościowych, programów społecznych deklarował się za ugrupowaniami radykalnymi. Stąd wielka aktywność jego w pracach emigracyjnych, udział w wyprawach zbrojnych organizowanych przez radykalne kierunki (Zaliwski), stąd niebezpieczna praca emisariusza, jednego z głównych twórców tajnych organizacji (Związek Ludu Polskiego), zwłaszcza na terenie tzw. Ziem Zabranych Litwy i Rusi.

Dokładną relację z jego działalności społeczno - politycznej zawiera monografia w sumiennym opracowaniu H. Mościckiego. Nie tutaj miejsce na powtarzanie jej. W tej chwili chodzi tylko o wyciągnięcie z niej wniosku, o zrozumienie jej aktualności; o podkreślenie tego, co nie tylko w odległej perspektywie czasu posiadało wartość, ale posiada ją i dzisiaj. Należało by nie tylko pamiętać o tym, że Konarski był „ogniwem splatającym wzniosłość moralnego czynu filareckiego młodzieży i zrywu powstania listopadowego z nurtującym społeczeństwa europejskie podziemnym ruchem demokratycznym", którego następstwem była Wiosna Ludów, ale i widzieć w nim „człowieka czystej i prostej duszy, oddanego jednej myśli", wcielającej się w „każdy jego czyn, słowo i ruch". I tu, jak u Sułkowskiego podkreślić trzeba wartość człowieka. Problem człowieka bowiem i jego stosunku do społeczności nigdy nie przestanie być aktualny. W każdej epoce, w każdym układzie stosunków społecznych musi chodzić o wartość człowieka.

Obie przytoczone tutaj monografie zostały opracowane przez ludzi znających dobrze podjęte tematy.

Autor „Szymona Konarskiego" ma za sobą nie jedną już pracę historyczną. Monografia Konarskiego posiada charakter i zalety przystępnej dla każdego rozprawki historycznej. Pożądaną zwięzłość takich opracowań rozbijają zbyt może obszerne cytaty listów i artykułów.

Sułkowski znalazł już wcześniejsze opracowanie w obszerniejszej pracy tego samego H. Mościckiego, wydanej pod tym samym tytułem w 1935 roku. Podczas gdy życiorys Konarskiego posiada cechy historycznej pracy naukowej, „Sułkowskiego" można by nazwać próbą powieści biograficznej. Raczej nawet szkicu takiej powieści. W wydawnictwach tego typu, co „Żywoty Znakomitych Polaków", takie ujęcie może liczyć na większe powodzenie u odbiorcy niż opracowanie typowo historyczne.

H. L.

[1]) Karol Koźmiński — „Sułkowski, Jakobin polski". Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1948, str. 163. „Żywoty znakomitych Polaków" pod red. Al. Wata.

Henryk Mościcki — „Szymon Konarski". Państwowy Instytut Wydawniczy. W-wa. 1949". str. 96 + 4 nlb. „Żyw. Znakom. Polaków",

INDYWIDUALIZM TRAGICZNY

Hans Fallada (pseudonim Rudolfa Ditzena) autor wydanej u nas niedawno książki pt. „Każdy umiera w samotności" *) miał przez sobą zadanie niełatwe. Przedstawienie stanu społeczeństwa niemieckiego w okresie władzy faszyzmu — i jego walki z tą władzą — na pewno nie da się zaliczyć do łatwych tematów. Fallada przeżył cały okres hitleryzmu przebywając w Niemczech — miał więc okazję poznać go dokładnie. Zasadniczą cechą niezwykle ciekawej powieści jest swoisty i niezwykle silny indywidualizm. Sprecyzujmy to pojęcie starając się zarazem wskazać na przyczyny zjawiska.

W istocie państwa totalistycznego leżą dwie dążności: do zniwelowania jednostkowej autonomii obywateli z jednej strony, a z drugiej do stworzenia stanu wzajemnej nieufności, wyizolowania jednostek. Te na pozór sprzeczne cele uzupełniają się w gruncie rzeczy wzajemnie. To jest jedno — tkwiące w temacie źródło indywidualizmu w utworze Fallady. Są i inne: a więc przekonanie autora o zasadniczej ważności jednostkowych przekonań, a także forma powieści — na pół sensacyjna, zmuszająca do ostrego przeciwstawienia poszczególnych osobowości (mimo, że pogłębieniem psychologicznym Fallada się nie zajmuje — to stanowi poważną wadę książki). Ów indywidualizm, jak można wywnioskować już z powyższego, ma rozmaite oblicza: na ogół zasadza się na odrębnym autonomicznym działaniu i motywacji działania u wszystkich występujących postaci. Jednostka jest u Fallady właściwie jedyną realną wartością czy chodzi o zagadnienie etyczne, czy ideologiczne — por. np. bardzo symptomatyczne oświadczenie dr Plechardta na str. 451. „Gdyby w Niemczech był taki człowiek, (chodzi tu o człowieka, który wskazałby narodowi właściwą drogę), nie doszłoby nigdy do roku 1939"

Wszyscy walczący z hitleryzmem i ginący w tejże walce Niemcy ukazani w powieści działają oddzielnie i na własną rękę. Jedyna grupa, pojawiająca się fragmentarycznie, zostaje rozbita. Mamy wprawdzie wzmianki o K.P.D. (Niemiecka Partia Komunistyczna), do której autor żywi wielki szacunek — ale ona nie jest przedstawiona w zbiorowym działaniu. O jej członkach tylko słyszymy jako o bohaterach. „Musieliśmy wszyscy działać w pojedynkę i jesteśmy też pojedyńczo łapani i każdy będzie musiał umrzeć samotnie". Indywidualizm działania bohaterów Fallady nie jest indywidualizmem z wyboru. Narzucony jest według autora przez strach, nieufność i przez chęć obrony za wszelką cenę sprawiedliwości, choćby tylko wewnątrz samego siebie. Bohaterowie Fallady nie chcą współpracować z Hitlerem: muszą więc z nim walczyć w samotności — nie wybranej, ale narzuconej. I muszą ginąć. Życie jest tylko w ucieczce. Stąd los ich nabiera cech antycznej tragiczności.

Zasadniczą tezą książki jest niezłomne przekonanie, że podstawą wszystkiego jest własna osobowość, indywidualne przekonania i czyny, — że jednostka jest ostatecznym czynnikiem odpowiedzialnym za rzeczywistość, w której żyje. Słabością jej jest niedocenienie elementu ideowego, łączącego ludzi pozamaterialnie, dodającego im mocy w samotnej walce.

*

Dla przedstawienia tak doniosłego problemu wybrał Fallada — za wzorem zapewne wielu pisarzy angielskich — formę powieści półsensacyjnej. Trudno powiedzieć, by odbiło się to korzystnie na całości dzieła. Wielowątkowość czyni panoramę szerszą, ale tylko pozornie. Brak jest pogłębienia zarówno psychologicznego jak i obyczajowego.

Poza tym irytujące są pewne „tricki" przeniesione żywcem z powieści kryminalnych. Bohaterowie scharakteryzowani są na ogół jednostronnie i szablonowo, czasem wręcz naiwnie. Pod tym względem widać wyraźną niedbałość. Autor potrafi być i bardzo wnikliwy. Styl ma Fallada suchy, obiektywny, bez zabarwienia uczuciowego (niestety, nie mogłem zdobyć oryginału i nie wiem, czy i w jakiej mierze jest to zasługą tłumacza) — ta jego właściwość daje jednak w niektórych momentach wybitne efekty (opis „Domu śmierci"). Całość? Mimo sporych rozmiarów, wielu usterek kompozycyjnych i naiwności książka jest warta poznania. Nie jest dziełem skończonym artystycznie — ale ma doskonałe fragmenty i daje — ogólnie biorąc — świetny, choć jednostronny obraz społeczeństwa niemieckiego.

*

Trudno pisać o tłumaczeniu, skoro się nie widziało oryginału tj. trudno pisać pochlebnie — łatwiej ganić. A tłumacz „Każdy umiera w samotności" zasłużył na parę wytknięć. A mianowicie: nazwy ulic berlińskich należało podawać konsekwentnie w brzmieniu oryginalnym — by obok Alexanderplatz nie było Prenclowskiej Alei, obok Greifswalder — ulicy Jabłońskiego, obok Christburgerstasse — Nowej Królewskiej. To wygląda niepoważnie i denerwująco (skądże w Berlinie ulica Jabłońskiego?) — i trochę przypomina ów sparodiowany tytuł z tłumaczenia Wachholza: Jan Wilkołaz Goethe, Pięść, Jedna tragedia.

Zastrzeżenia budzą także poszczególne wypadki użycia „gwary" przez tłumacza. Są one rażące i jakoś odbiegające od rzeczywistości. Jaskrawym nieporozumieniem jest wyrażenie „dwa tysiące patyków" (str. 272) w znaczeniu: „dwa tysiące marek". Przecież „patyk" = dwie „pięćsetki" = tysiąc złotych! Może już lepiej było by wstrzymać się w ogóle od używania żargonu, który nie dla wszystkich — i przede wszystkim nie w całej Polsce — jest zrozumiały.

Wydawnictwu (choć zdarzają się błędy korekty) należy się pochwała za staranne wydanie książki.

Z. N.

*) Hans Fallada: „Każdy umiera w samotności" tł. Jerzy Rawicz, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 532 + 4 nlb.

Stanisław PODLEWSKI

Czy dzieła Tomaso Dolabelli znajdują się na Jasnej Górze

Gdy w maju i sierpniu tego roku byłem na Jasnej Górze, w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, zauważyłem z niemałym zdziwieniem, że malowidła na ścianie, w której znajdują się okna, odpadają sporymi płatkami, a w wielu miejscach widnieją białe plamy. Malowidła miały przetrwać wieki, tak nas przynajmniej zapewniano po zakończeniu odnawiania kaplicy, tymczasem nie upłynęło pięć lat....

Gdy przed kilku dniami znalazłem się w kaplicy, stwierdziłem, że proces niszczenia malowideł trwa, można dostrzec coraz to nowe odpryski i białe plamy.

Przypomniała mi się wówczas rozmowa z ojcem Alfonsem Jędrzejewskim, niedawno zmarłym jubilatem i najstarszym zakonnikiem klasztoru jasnogórskiego, który wiele podróżował, zwiedzał wiele kościołów, muzeów, galerii obrazów i znał się na sztuce kościelnej. Wyrażał się dość krytycznie o odnowieniu kaplicy, o nowych malowidłach w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej.

Gdy rozmawialiśmy o odnowieniu kaplicy, starałem się przekonać ojca Jubilata, że artyści Łucja i Józef Ozminowie nie stwarzają nowych malowideł w kaplicy, a tylko z największym pietyzmem i benedyktyńską cierpliwością wydobywają spod wielu tynków dawne oryginalne wartościowe malowidła i tylko w niektórych miejscach, gdzie nie dało się już niczego wydobyć spod tynku, lub gdzie malowidła były bardzo zniszczone, dokomponowali sceny, które jednak doskonale harmonizują z całością.

Nie przekonałem czcigodnego starca. Malowidłom nie wróżył trwałości.

Zapewne wielu naszych Czytelników zaciekawi, jak doszło do odnowienia kaplicy, a następnie do rewelacyjnych odkryć oryginalnych malowideł. W 1941 roku pewien adwokat warszawski podczas pielgrzymki z rodziną na Jasną Górę zwrócił uwagę, że ściany kaplicy są zniszczone i brudne. Właśnie za wysłuchanie swoich błagań i próśb przez Boga-Rodzicę szukał sposobów wyrażenia wdzięczności. Postanowił złożyć odpowiedni fundusz na odnowienie kaplicy. Zwrócił się z tym projektem do O. Piusa Przedzieckiego, ówczesnego generała zakonu OO. Paulinów, który wyraził swoją zgodę.

Postanowiono powierzyć tę doniosłą pracę profesorowi Józefowi Ozminowi i jego małżonce Łucji, mającym za sobą studia naukowe we Włoszech u wybitnych artystów, a zarazem posiadających w tej dziedzinie duże osiągnięcia.

Artyści otrzymali na pracownie tak zwane „królewskie pokoje" i odrazu przystąpili do przygotowywania kartonów z projektami malowideł, którymi miały być pokryte stropy i ściany kaplicy.

Ozminowie przystąpili do zdejmowania tynków, w czasie tej żmudnej czynności dokonali ciekawych odkryć.

Obawiając się, że hitlerowcy będą chcieli wykorzystać ten fakt dla celów swojej niecnej propagandy politycznej — Ojcowie Paulini zdecydowali się przerwać pracę na pewien czas, a równocześnie poufnie zasięgnęli sądów naszych konserwatorów i historyków sztuki.

Gdy wojna światowa zbliżała się szybkimi krokami do końca, a Niemcy byli całkowicie pochłonięci walącymi się frontami, Ojcowie Paulini zwołali komisję złożoną z dostojników duchownych oraz najwybitniejszych konserwatorów i historyków sztuki, jak prof. Zachwatowicz, dyr. Skotnicki i prof. Walicki. Zadecydowano wznowić prace przy odnawianiu kaplicy. Przede wszystkim zbadać dokładnie tynki na stropie kaplicy.

Ozminowie przystąpili do żmudnej pracy zdejmowania poszczególnych warstw farb i pod ósmą warstwą zauważyli interesujące malowidło, przedstawiające sceny cudów w kaplicy. Liczne odkrywki wskazywały, że pod grubą warstwą farby znajduje się jeszcze jakieś dawniejsze malowidło, prawdziwe dzieło sztuki przedstawiające postacie ośmiu aniołów, ujętych w pełni ruchu z rozwianymi skrzydłami.

Te wszystkie odkrycia na stropie kaplicy budziły nadzieję dalszych, niemniej rewelacyjnych odkryć na ścianach kaplicy.

Na trzech ścianach kaplicy wisiały szare obrazy na płótnie jakiegoś nieznanego malarza z XVII-go wieku.

Po zdjęciu obrazów ze ścian, a także po usunięciu grubej warstwy kurzu, pleśni i kopcia z lamp i świec profesor Ozmin przystąpił do zdjęcia tynku i tuż pod jedną warstwą tynku ukazało się malowidło wielkich rozmiarów. Na prawej ścianie kaplicy „Ofiarowanie Chrystusa w świątyni" i „Adoracja Matki Boskiej", po stronie lewej „Ostrzeżenie przez Anioła" i „Ucieczka do Egiptu", a za ołtarzem „Boże Narodzenie i „Pokłon Trzech Króli".

Ozminowie wpatrując się w odkryty obraz „Ofiarowanie" dostrzegają obok postaci bibilijnych grupę rodziny króla Zygmunta III-go Wazy, drugą jego żonę Konstancję Rakuszankę, królewicza Władysława, późniejszego króla Władysława IV-go i królowę Annę Jagiellonkę.

W otoczeniu rodziny królewskiej dostrzegają Szymona Szymonowicza, poetę, autora „Sielanek", ozdobionego laurem przez papieża.

Wszystkie postacie są pełne życia, doskonale ujęte w ruchu. Na skraju jednego z malowideł zachowała się data ukończenia 160, z niepewną ostatnią cyfrą 3 czy 8.

Przed artystami stanęło teraz fascynujące pytanie. Kto jest twórcą tych malowideł w kaplicy Jasnogórskiej?

Owe anioły na stropach przypominały anioły w kaplicy świętego Jacka w kościele OO. Dominikanów w Krakowie, których twórcą był Tomaso Delabella, nadworny malarz całej dynastii Wazów w Polsce: króla Zygmunta II-go, Władysława VI-go i Jana Kazimierza. Przebywał stale w Krakowie i tam się ożenił z córką drukarza, pozostawił wiele dzieł treści religijnej, historycznej i wiele portretów.

W klastorze OO. Dominikanów w Krakowie znajdują się jego pędzla obrazy: „Wesele w Kanie Galilejskiej", „Chrystus u Marty", „Ostatnia Wieczerza", „Połów ryb", a w kościele Bożego Ciała w wielkim ołtarzu „Boże Narodzenie", także obrazy w klasztorze OO. Komedułów na Bielanach i w kościele św. Barbary.

Do tej pory autora tych malowideł odkrytych w kaplicy jasnogórskiej nie ustalono.

Najwięcej przemawia za tym, że jest nim Tomaso Dolabella.

*

Oczywiście artystom nie udało się wydobyć spod tynku w całości wszystkich malowideł, z niektórych zachowały się tylko większe lub mniejsze fragmenty. Profesor Ozmin nie tylko odrestaurował je w tej samej technice, w tak zwanej „tłustej temperze", ale brakujące fragmenty dokomponował.

I tutaj artysta odniósł naszym zdaniem wielki sukces. Dzisiaj jest trudno odróżnić, które części malowidła są oryginalne, a które zostały dokomponowane, jak na przykład „Ucieczka do Egiptu".

Należy tutaj wspomnieć, że za ołtarzem kaplicy znajdują się jeszcze na ścianie dwa malowidła. Zostały one narazie tylko zabezpieczone.

A bardzo szkoda, że nie zostały wydobyte spod starych tynków.

Stanisław Podlewski

SYLWETKI I ZDARZENIA

MARIA KONOPNICKA (1842–1910)



BYŁA w poezji polskiej późnej doby poromantycznej tym, czym był Bolesław Prus w prozie — sercem serc, czułym na ludzką niedolę i krzywdę, zwłaszcza kiedy jej doznają maluczcy i poniżeni. Jak każda wybitna indywidualność, nastręcza wciąż wiele kłopotu uczonym w piśmie, gdyż wymyka się klasyfikacji, oczywiście, o ile nie mówi się o klasyfikacji wyłącznie estetycznej. Tu sprawa dawno załatwiona. Ale czy się mieściła jeszcze w romantyzmie z jego znamienną dla schyłku skłonnością do wirtuzji formalnej, którą poetka zaraziła się od naszego Asnyka i za pośrednictwem Coppée'go od francuskich parnasistów, czy też w pozytywizmie z jego rzekomym uwielbieniem prostoty — zagadka nie do rozwikłania. Bodaj że najbliższą prawdy odpowiedź mogliby dać na to pytanie zawodowi poławiacze syntez, znowu oceniając Konopnicką per analogiam z Prusem: była pozytywistką z bagażem romantycznym lub na odwrót, romantyczką z bagażem pozytywistycznym.

Napisał o niej jeden z historyków polskiej literatury nowoczesnej, że była chorążym ludu w poezji i że właśnie porywczy nurt społeczny nie zaś same zalety znakomitego warsztatu pisarskiego decydują o zjawiskowości dzieła Konopnickiej. Bardzo słusznie. Poprzednik poetki, Lenartowicz wyżywał się niemniej namiętnie w kręgu pokrewnych motywów i sztuka Lenartowicza osiągnęła w nich niemniejsze — powiedzmy, prawie niemniejsze — wyżyny. Tylko że tam, gdzie Lenartowicz nie potrafił znaleźć nic prócz motywu, Konopnicka doszukała się czegoś niewspółmiernie istotniejszego. Mianowicie idei. I z tej idei zrobiła program pracy pisarskiej. W jaki sposób zachowała doskonałą równowagę pomiędzy formą swego dzieła i olbrzymim jego ładunkiem ideowym, to należy do tajemnic talentu. W każdym bądź razie — jeśli uwzględnić czasy, w których dosięgła szczytu rozwoju artystycznego — kilku zaledwie naszych pisarzy zdołało podporządkować tak zupełnie talent idei. Bez wątpienia, są to pisarze wielcy. Dlatego Konopnicka należy do naszych wielkich pisarzy. Do pisarzy, których najchętniej nazwalibyśmy reformatorami społecznymi, aczkolwiek reprezentowali raczej nie dość skrystalizowane koncepcje reformatorskie niż — niech padnie słowo — uświadomiony, mocny aktyw.

W wypadku Konopnickiej reformator nie oznaczał rewolucjonisty. Gatunek jej liryzmu wykluczał walkę. Pozwalał natomiast na zadumę nad nędzą nierówności, na gorące odwoływanie się do uczucia i poczucia praw Bożych na ziemi, na tony rzewne i miękkie, takie, żeby przemawiały do rozsądku świata przez serce, z dala od wszelkich linii podziału i ponadklasowo. Fragmentaryczny „Prometeusz i Syzyf" i ogromny „Pan Balcer", najlepsze studium wsi polskiej przed epopeją Reymonta, odsłaniają nam duszę społeczną Konopnickiej.

Była poetką początku drogi. My, pokolenie walki, patrzymy dziś na Konopnicką przez pryzmat czterdziestolecia, jako następnego etapu i dzięki niej widzimy tym jaśniej piękno dokonującej się Przemiany.

SŁAW

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727. Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych.
Druk W. Z. G. Oddz. 01, Warszawa, Tamka 3. Zam. 4831. B-133517.